

Stętyński

—
MIEDZY
POLSKĄ
I RUSIĄ

4634





Li. tes.

384634

776388

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

MIĘDZY III RZESZĄ
A III RUSIĄ

Z. Wojciechowl.
2013.

WARSZAWA — 1939

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R O J”

Tegoż autora:

Naród rządzący — 1934

Z duchem czasu (szkice społeczno-polityczne) — 1936

Regal młynny w średniowiecznym prawie polskim
(teza doktorska) — 1936

Zagadnienie ziem wschodnich — 1936

384634



Zakłady Graficzne „FENIKS”, Warszawa.

K 2385/66

ZAMIAST WSTĘPU

Sprawa jest już zdecydowana i nawet walizka stoi przygotowana: jadę do Czechosłowacji.

* *
*

To było, jeśli się nie mylę, w początkach roku 1931. „Vyslancem“ czechosłowackim w Warszawie był dr Girsza. Nie był to banalny dyplomata trawiący czas między urzędową korespondencją a przyjęciami dyplomatycznymi, ale człowiek z inicjatywą. Toteż postanowił zapoznać się z młodzieżą polską. Za pośrednictwem prof. Cybichowskiego, który był kuratorem akademickiego koła przyjaciół Czechosłowacji, zaprosił przedstawicieli młodzieży akademickiej na pogawędkę na ul. Szopena. Życie academic-

kie było wówczas niesłychanie rozbudowane, toteż pewnego popołudnia znalazło się nas tam aż kilkunastu.

Dr Girsza rozpoczął pogawędkę od naszkicowania historii stosunków polsko-czechosłowackich. Głównie chodziło mu o wyjaśnienie starych pretensyj. Tłumaczył długo o Syberii, o dowozie broni w 1920 r., o sympatiach panslawistyczno-rosyjskich. Zdaje mi się, że wszyscy słuchaliśmy tego jednym uchem. Tymczasem dr Girsza skończył i prosił o zadawanie mu pytań.

Okazało się, że cała prelekcja była tak dobrze jak niepotrzebna. Nikt nie poruszał spraw przeszłości, ktoś tylko mimochodem zaznaczył, że właściwie ani starsze pokolenie Czechów, ani starsze pokolenie Polaków nie miało pojęcia o tym, jak się buduje własne państwo i jakie są zewnętrzne konsekwencje posiadania własnego państwa. Natomiast zaraz u wstępu pewien młodziutki student, z lekką się zacinając, zapytał:

— Przepraszam bardzo, panie ministrze, ale czy można by wiedzieć... To znaczy, czy można być pewnym lojalności Niemców czeskich. Czy

w razie wojny z Niemcami oni wszyscy nie zdradzą?

A potem jakiś akademicki statysta zapytał:

— Dlaczego nie zawarliście dotąd z nami sojuszu wojskowego przeciw Niemcom?

Ktoś trzeci zadał pytanie:

— Po co Czechosłowacja utrzymuje wyższą uczelnię dla Ukraińców?

Dr Girsza zapisał wszystkie pytania, po czym zaczął wyjaśniać:

— Panowie ciągle wracacie wszyscy do sprawy wojny i do niebezpieczeństwa niemieckiego, tak jakby ta wojna miała zaraz wybuchnąć. Pokój europejski oparty jest na trwałych podstawach. W Niemczech wprawdzie gotuje się kasza, ale my tej kaszy tak na gorąco jeść nie będziemy. (Było to na dwa lata przed zwycięstwem Hitlera). Wojna wybucha wtedy, jeśli się obie strony na wzajem bardzo siebie boją — ze strachu w końcu rzucają się na siebie. Nie, wojna ze strony Niemiec nie grozi bynajmniej Europie.

Następnie odpowiedział dyplomatycznie o Ukraińcach i o Śląsku Cieszyńskim. Wspomniał,

że w szkołach mniejszościowych polskich, dzieci w ogóle nie uczą się czeskiego języka. To oświadczenie wywołało nagły protest kierownika wydziału zagranicznego Naczelnego Komitetu Akademickiego:

— Jako nie uczą się wcale czeskiego? To wy z nich chcecie zrobić obywateli drugiej klasy?

Dr Girsza zdziwił się tak wyraźnie, że nie zdołał tego ukryć. Ciągnął jednak dalej i w pewnym momencie powiedział:

— Kiedy się mówi z Anglikami, to dwa razy dwa jest cztery; kiedy się mówi z Niemcami, to dwa razy dwa jest cztery; kiedy się mówi z Francuzami, to dwa razy dwa jest cztery; a kiedy się mówi z Polakami, to dwa razy dwa jest cztery i bukiecik fiołków.

Na to zabrał głos młody człowiek, później znany literat, który oświadczył:

— Nie należy lekceważyć bukiecika fiołków. Wszyscy świetnie wiemy, że stosunki między państwami opierają się na równowadze sił zbrojnych i na wymianie gospodarczej. Nie wszędzie i nie zawsze jednak jest to argument wystarczający. Prawdziwy sojusz musi opierać się na sym-

patiach mas, a tu nie wystarcza już bilans handlowy, potrzebny jest bukiecik fiołków. Kto zapomni o bukieciku fiołków, może potem ogromnie przegrać.

Wysłuchawszy tej chłodnej uwagi, minister Girsza zwrócił się do prof. Cybichowskiego:

— Miał pan rację, profesorze — młode pokolenie polskie jest naprawdę inne całkiem od starego.

* *

*

A teraz jadę oglądać kaszę. Kasza w 1931 roku dopiero bulgotała. W 1933-im zaczęła wrzeć. W lutym 1938 roku przelała się poza brzegi stalowego garnka i zalała Austrię, parząc przy tym trochę Czechosłowację. Teraz znowu kipi i przelewa się poprzez skalny brzeg Sudeków i Gór Kruscowych, ściekając po stokach wyżyn aż po Pragę i Brno.

Ta kasza jest jednak bardzo gorąca.

My, Polacy, dmuchaliśmy na tę kaszę, nie czekając aż sama ostygnie. Toteż, choć i dla nas nie jest ona zbyt smaczna, ale nie parzy przy najmniej wnętrzości, można ją jakoś strawić.

Czy strawią ją Czesi? To właśnie chcę zobaczyć na miejscu.

Nie chodzi zresztą tylko o kaszę. Chodzi jeszcze o kreskę. O drobną kreskę. Na wizie czechosłowackiej jest napis „Czeskoslovenska Republika“. Czeskoslovenska w jednym słowie a nie Czesko-Slovenska z kreską w środku. O tę kreskę idzie spór na śmierć i życie. Bo państwo „czeskoslovenskie“ bez kreski w środku oznacza, że jest jeden naród czechoslovenski. A tymczasem Słowacy twierdzą, że nie ma takiego narodu (a skoro Słowacy tak twierdzą, to istotnie już samo to twierdzenie dowodzi, że go nie ma), że zatem jest tylko państwo czesko-słowackie — z kreską w środku — jedno państwo dwóch narodów, z których każdy rządzi się u siebie. Więc idzie bój o kreskę i o wszystko co się za tą kreską ukrywa.

— Ależ to nie wszystko co dotyczy Czechosłowacji — wołasz oburzony. — A Polacy, a Węgrzy?

— Zapewne. Ale to jest całkiem inna historia — jak powiada Kipling.

I. S Ł O W A C Y

„NA SLOVENSKU — PO SLOVENSKU“

Już przed dworcem w Bratislavie, bezpośrednio po wyjściu z pociągu oślepia mnie po prostu orgia barw. To plac jest zatłoczony Słowakami w strojach ludowych. Wysokie barwne czepce wyszywane paciorkami, wspaniałe kolorowe hafty koszul i spódnic. Kobiety w długich butach, za to mężczyźni w płóciennych, szerokich, luźno u dołu puszczonech spodniach, obsztych u dołu frendzlą. Fantastycznie szerokie rękawy koszul białych z czerwonymi bogatymi wyszyciami. Wszystkie możliwe kolory spódnic i wyszywanych portek. Szerokie nabijane pasy, jakieś czepki olbrzymie, jakieś fantazyjne kapelusze z piórami i wstęgami. Ponad tłumem transparenty rozwijają się na tykach.

Idę równocześnie z nimi do śródmieścia. Na czele orkiestra wiejska. Grają, a tłum śpiewa ja-

kąś ludową tęskną pieśń. Pieśń zakończona i od razu skandowany, potężny krzyk:

„Na slovensku — po slovensku!”

To jest zawołanie kongresu Słowackiego Stronnictwa Ludowego.

Kiedy Słowacy mówili mi, że sprowadzą do Bratysławy sto tysięcy chłopów, w duchu uśmiechałem się sceptycznie.

A teraz stoję na dużym balkonie na wprost teatru miejskiego (w tym teatrze grywa się na przemian po niemiecku, po czesku i po słowacku) i patrzę jak napływają tłumy. Grupami, ze sztandarami i orkiestrami (140 orkiestr ludowych), dwiema ulicami na plac przed teatrem płyną tłumy już od dwóch godzin bez przerwy. Te sto tysięcy, to fakt.

Chłopi słowaccy idą zupełnie inaczej, niż polscy. U nas chłopi idą z zaciętością, z pasją, ale ciężko, dostojnie. Tutaj idą lekko, a z rozmachem. Oto ukazuje się w szeregu ośmiu chorążych w barwnych strojach, ze sztandarami z podwójnym krzyżem słowackim na wysokich drzewcach. Za nimi orkiestra. Orkiestra zaczyna grać czardasza i wówczas chorążowie podno-

szą jedną ręką wysoko sztandary, drugą zrywają z głów kapelusze z piórami i, potrząsając drzewcami jak ciupagami, zmieniają krok marszowy na taneczny. Po prostu tańczą czardasza z chorągwiami — a co najciekawsze, nie wygląda to wcale śmiesznie, tylko porywająco. Jest w tym jakaś ogromna pierwotna siła.

Nad tłumem olbrzymi transparent. „Za Boha a narod“. Za nim na wzór feretronu zrobiony olbrzymi portret wodza Słowacji, księdza Andrzeja Hlinki. A potem nieduży transparent: naklejone na płótno dwie słowackie gazety — tylko tytuły, reszta strony biała — nad nimi duży napis: „Cenzurowane“.

Tłum cały czas śpiewa, lub krzyczy rytmicznie:

„Slovensko — Slovakom,
Czesko — Czechom,
Palestina — Židom“.

Kiedy przechodzą przed dużą kawiarnią, pełną Żydów, wołają do wiersza, z gwałtownymi gestami:

„Slovensko — Slovakom,
Palestina — Židakom“.

W tej chwili rozlegają się dzwony kościelne. Przez magafony ustawione na wszystkich ulicach, słycać głos:

„Prosime o spokój“

a potem inny głos:

„Anjel Pana zviestoval Pannie Maryje“...

Wszystkie głowy się odkrywają i słycać chórny szepc stu tysięcy ludzi.

Po chwili znowu tłum śpiewa:

„My chcemy svobodu
slovenskeho narodu“.

A wnet potem na poważną ludową melodię, z wielkim zapalem pieśń z refrenem:

„Pryjde Hlinka z Ružomberku
Prynese nam svobodenku“.

Nareszcie zaczynają się mowy. Ile razy ktoś z mówców wspomni Hodżę albo Pragę, którą ironicznie nazywają „maticzka Praha“, sto tysięcy ludzi gwizdże — efekt słuchowy niebywały.

Tłum jest tak gęsty, że z niego wystają tylko drzewa na skwerze i pomnik poety Hviezdoslava, który siedzi twarzą zwrócony do teatru i zasłuchany.

Naprzód mówi ksiądz Buday, potem ksiądz Hlinka, potem ksiądz Tiso, potem poseł Sidor, potem amerykańscy Słowacy. W ogóle widać, że ten ruch robią księża i młodzież. Mówcy wszyscy mówią bardzo zwyczajnie, bez efektów, bez pauz retorycznych, niemal bez modulowania głosu. Do tłumy zwracają się: „Bracia i siostry!“

Ale to co mówią jest twarde i mocne. Nazywają swoje żądania autonomią, ale w gruncie rzeczy autonomia w tych granicach oznacza federację, przekształcenie Czecho-Słowacji na państwo dualistyczne. Mowy mają charakter ultimatum: umowa pittsburska była warunkiem powstania republiki, jeśli tej nie wprowadzicie w życie... Ale my mamy przywiązanie do republiki i możemy jej bronić... I jeszcze: Jesteśmy nacjonalistami i katolikami, bo nasz naród jest katolicki.

Wreszcie punkt kulminacyjny uroczystości: przywódca Słowaków amerykańskich, dr Hletko rozwija oryginał umowy pittsburskiej i pokazuje tłumom. A 75-letni ks. Hlinka wywołuje po nazwisku wszystkich obecnych „podpisovate-



li“ umowy i pyta każdego: „Czyście widzieli podpis prezydenta Masaryka?“

— Widziałem... razem ześmy podpisywali... patrzałem jak podpisywał... byłem przy tym...

Wybucha wreszcie krzyk, długi, nieprzerwany. A teraz zakończenie: Hymn narodowy słowacki. Co za dziwne uczucie: to przecież lekko strawestowany — Mazurek Dąbrowskiego:

„Jeszcze żyje recz slovenska...“

* * *

*

Nazajutrz, 6-go odbył się konkurencyjny zjazd Stronnictwa Rolniczego Czeskosłowackiego z przemówieniem samego premiera Hodży. Stwierdzić wypada obiektywnie, że mimo całej przewagi technicznej, hodźowcy okazali się bez porównania słabsi od hlinkowców. Było ich dużo — może ze 60.000, ale... Ale wszyscy mieli jednakowe tabliczki (powiatowe), byli to ludzie starsi, szli niemrawie, tylko grupy młodzieży tańczyły, machając chusteczkami. Wołali wyłącznie: „Niech żyje Hodža“, „Niech żyje republika“, „Precz z rozbijaczami“ i w kółko. Wieźli

natomiast na wozach coś w rodzaju karnawału nicejskiego — „Janosik“ jako ofiara węgierskiego ucisku, „Republika“ w otoczeniu cnót, „Armada“ z żywymi żołnierzami. Poza tym wójtownie, chorągiewki, „selska jazda“, nauczycielki w strojach ludowych, rezerwa i p. w.

Poprzedniego dnia autonomiści publicznie ogłosili, że każdy z uczestników hodźowej manifestacji nie tylko dostaje kolej darmo, ale jeszcze 10 koron (blisko 2 zł) strawnego — na gulasz.

Uroczystość autonomistów rozpoczęła się od mszy polowej, agrariuszy nie — ale dalszy ciąg był ten sam i w tych samych miejscach mogłem je oba obserwować. Nastroju absolutnie nie da się porównać. Niech więc starczy tylko jeden fakt — podczas gdy uczestnicy autonomistycznej uroczystości wysłuchali w napięciu do 2-giej godziny mów swoich przywódców, tłum sprowadzony przez agrariuszy — rozlał się już przed południem podczas mowy premiera, który zresztą mówi o wiele lepiej pod względem formy niż jego przeciwnicy.

Pochód centralistów był bardzo żywo okla-

skiwany przez Żydów bratisławskich (słyszałem nawet z balkonu „Astorii“ okrzyki — „At żyje nasz Hodža“), natomiast młodzież słowacka urządziła burzliwe kontrdemonstracje wznosząc okrzyki ku czci autonomii, Hlinki, przeciw Żydom, komunistom i Hodży.

Na zakończenie ciekawa obserwacja. Do małej restauracyjki, w której jadłem obiad wchodzi grupa „centralistycznych“ chłopów po manifestacji. Funduje jakiś półinteligent — typ pisarza gminnego. Chłopi siadają i zaczynają mówić — po węgiersku. Widocznie są i Czechowęgry.

HISTORIA CZTERECH MIAST

Nad Dunajem żyją trzy miasta. Trzy miasta na jednym miejscu, tak ze sobą splecione, że nie sposób ich terytorialnie rozdzielić.

Jest to stolica Słowacji — Bratislava, ale to samo miasto znacznie szerzej jest znane jako niemiecko-żydowski Pressburg, a w środku niego wplecione wciąż żyją stare Pozsony.

Podczas dwóch dni Zielonych Świątek Bratislava wydawała się miastem słowackim — była stolicą Słowaczyny.

Wśród Słowaków działają dwie partie — jedna to czysto słowackie Stronnictwo Ludowe, stojące na gruncie autonomistycznym, którego wodzem jest ks. Andrzej Hlinka; druga to czeskie Stronnictwo Rolnicze, którego wodzem jest Słowak, obecny premier, Milan Hodža. To drugie stronnictwo do niedawna negowało istnienie

osobnego narodu słowackiego, twierdząc, że istnieje tylko wspólny naród czeskosłowacki o paru dialektach — „slovenčina“ jest jednym z nich i że było nieszczęściem stworzenie przez Stuhra w ubiegłym wieku osobnej gramatyki słowackiej. Autonomiści są bardzo katolicy, centraliści Hodży opierają się na protestantach oraz urzędnikach czeskich.

Partia ta przeszła w ostatnich latach ogromną ewolucję — obecnie uznaje już istnienie narodu słowackiego. Słuchając mowy Hodży w Bratisławie, podziwiałem jak karkołomnych sztuk dokonywał ten doświadczony parlamentarzysta, aby nie powiedzieć, czy są dwa narody: czeski i słowacki, czy tylko jeden czeskosłowacki.

Stronnictwo autonomistów Hlinki także przeszło przez ogromną ewolucję — w tym samym kierunku. W wyborach do pierwszego parlamentu czechosłowackiego szło jeszcze razem ze Stronnictwem Ludowym czeskim jako jedna lista. Dziś coś podobnego byłoby nie do pomyślenia i w oczach zwolenników partii uchodziłoby za zdradę narodową.

W Czechosłowacji panuje demokracja, lecz

jak się miałem możliwość przekonać, jest to „demokracja kierowana“, toteż hlinkowcy nie są tam tak prześladowani jak opozycja w państwach totalistycznych, to znaczy istnieć im wolno, ale spółdzielczość jest trzymana przez rząd, a akademik-autonomista nie ma żadnych widoków na posadę państwową czy półpaństwową. Inna rzecz, że rząd w Polsce byłby zachwycony, gdyby miał tak łagodną opozycję. Słowacy mają duży wrodzony temperament — to się widziało podczas manifestacji autonomistycznej, o tyle żywszej, pewniejszej siebie i weselszej niż nasze manifestacje chłopskie. Ale ci ludzie nigdy nie walczyli naprawdę, nie mają w tradycji żadnej ofiarności — przeciwnie każdy chce mieć jakiś tytuł, a gdy nie jest radcą, doktorem, czy czymś podobnym, to pisze sobie chociaż „kandydat filozofii“ (Ph. cand.), co znaczy po prostu: student uniwersytetu.

Widziałem w dniu manifestacji centralistów Hodży taką scenę: po jednej stronie ulicy stoi grupa młodzieży słowackiej i krzyczy przeciw pochodowi, ku czci Hlinki i autonomii, po drugiej na balkonie kawiarni tłumek Żydów wznosi

okrzyki prowokacyjne w rodzaju „Hlinkę na cmentarz“ (było to na niespełna trzy miesiące przed jego śmiercią, gdy miał już 75 lat). Młodzi ludzie odpowiadają okrzykami antysemitkami i nic więcej. Kiedy nazajutrz dziwiłem się wobec Słowaków tak małemu temperamentowi ich młodzieży, wyjaśnili mi, że przecież zdemolowanie kawiarni lub bójka grozi surową odpowiedzialnością do paru miesięcy więzienia. Więzienie na Słowacyzynie to wielkie słowo.

W trakcie zastanawiania się nad tą sprawą, zacząłem czytać „Słowaka“. Redaktor tego pisma, Sidor poświęcił kilka słów wspomnieniu tych, którzy cierpieli za umowę pittsburską i powołał się na znaczenie, jakie dla Polaków miały ich bezowocne powstania. Tak — zaczynam doceniać znaczenie powstań, zobaczywszy inne pokrewne nam narody — nie można do innych narodów środkowo - europejskich przykładać miary polskiej. Dla nich słowo „naród“ znaczy znacznie mniej niż dla nas i słowo „ofiara“ znaczy także mniej.

Prasa centralistyczna nazajutrz po kongresie autonomicznym twierdziła z przekąsem, że naj-

większe powodzenie ze wszystkich haseł zjazdu miał dwuwiersz:

„Slovensko—Slovakom
Palestina—Židakom!“

Hasło to miało rzeczywiście, trudno powiedzieć czy największe, ale bądź co bądź powodzenie.

Bo Żydzi na Słowacyzynie są czynnikiem bardzo poważnym. Ze wsi zaczynają ich po trochu wypierać, głównie dzięki akcji katolickich stowarzyszeń młodzieży, ale Bratislava jest bardzo żydowska. Bratislava jest w ogóle miastem o charakterze jeszcze wciąż austro - węgierskim. Większość ludności miasta stanowią Węgrzy, węgierscy Żydzi, Niemcy państwowo - węgierscy, Żydzi niemieccy i miejski element wielojęzyczny, nie bardzo określony narodowo. (Rzecz to dla Polaków trochę nie do pojęcia, ci ludzie mówiący jednakowo dobrze w paru językach, używający w domu paru języków, rozmawiający naraz z dwiema osobami, z każdą w innym języku i nawet nie zdający sobie z tego sprawy). Położone za Dunajem przedmieście Bratislavy — Petržal-

ka graniczy jednocześnie z Węgrami i Austrią. Do Wiednia jedzie się tramwajem albo statkiem.

Austro-węgierskość Bratislavy zaczyna znikać dopiero w ostatnich miesiącach — po Anschlussie. Żydzi przestają uważać się za Niemców, a młodzi Żydzi uczą się na gwałt po czesku (rzecz charakterystyczna, że nie po słowacku).

Równocześnie Niemcy przestają być państwem węgierscy. Ta przemiana rzucała się w oczy w gorących dniach przed wyborami do rady miejskiej w Bratislavie, które odbyły się w końcu czerwca. Zarówno w mieście jak i okolicznych miasteczkach i wsiach wszystkie płoty pozalepiane i pozamazywane były afiszami wyborczymi. Najwięcej było chyba afiszów komunistycznych — nalepianych po trzy obok siebie. Pierwszy zaczynał się wezwaniem „Slovaci!“, drugi „Magyarok!“ a trzeci „Pressburger Deutscher!“. U dołu podpisy: „Kamunisticna Strana“, „Komunista Partyara“ i „Komunistische Partei“.

Małe dziewczynki, ubrane tylko w kostiumy kąpielowe (panowały wielkie upały) rozdawały po ulicach ulotki czeskich Narodowych Socjalistów (partia prezydenta Benesza), wydane przez

komitet urzędników. Nocami studenci słowaccy zalepiali obce afisze ulotkami z napisem „Slovensko Slovakom“.

Ale mimo afiszów, ponad nimi, na niedostępnych nieraz kawałkach murów, wszędzie widnieje cyfra 4, pisana w bardzo dziwny sposób:

4

To cyfra „Karpathendeutsche Partei“. Chyba nawet bardzo ograniczony człowiek zrozumie co to za znak i jakiej ewolucji jest on wyrazem. No cóż: „Ein Volk, ein Reich, ein Führer, eine Partei... ein Zeichen“.

Wreszcie i wśród Żydów węgierskich, pod wpływem zarządzeń antysemickich na Węgrzech zaznacza się pewien ferment — także zaczynają mówić po czesku.

Jechałem ze szczerym zamiarem nauczenia się porządnie po słowacku. Stało się jednak inaczej — słowacki jest za podobny do polskiego. Gdy mówiłem po polsku, wszyscy mnie rozumieli, a ja rozumiałem po słowacku. Powstaje z tego dziwne wrażenie, jakby się nie

było naprawdę za granicą. Już pierwszego dnia zdumiały mnie okrzyki „niech żyje!“, „hańba!“, „precz!“. Zespół dźwięków „niech żyje autonomia!“, lub „Żidy do Palestyny!“ budzi znane, stare refleksje. Ale to jeszcze mało: podczas manifestacji hodźowców, wdałem się w rozmowę z kontrmanifestującymi studentami. Rozmawialiśmy dość długo, było już dobrze po dwunastej, gdy studenci zaczęli spoglądać na zegarki. Potem z pewnym zakłopotaniem wyjaśnili mi, że u nich taki zwyczaj, że w niedzielę zawsze chodzą „na obyczejnu omszu po sumie w farskom kostole“.

No, bo niby co mają robić narodowi studenci katolickiego narodu w święto o godzinie wpół do pierwszej?

* *
*

Wśród Słowaków nie ma niepodległościowców, przynajmniej jawnych. Z początku sądziłem, że to jest taktyka. Potem słuchałem rozmów i dyskusji na ulicy w dniach manifestacji. Widziałem, jak pewien młody Słowak omal nie pobił z pasji młodego Czecha, który mu zarzucał,

że autonomiści godzą w całość państwa. „My jesteśmy za Republiką, bardziej może niż wy“ – wołał Słowak. Ale i wtedy jeszcze nie byłem przekonany. Przekonały mnie — kamienie.

Bratislava jest wyjątkowo pięknie położonym miastem. Ostatnie pasmo Karpat — Małe Karpaty, opada tu ku Dunajowi miejscami urwiskiem, skałą, miejscami łagodnym zboczem. Stara Bratislava jest cała w schodach, niektóre schody, przypominające warszawskie Kamienne Schodki, biegną setkami metrów, krętym korytarzem pośród starych domów, na zboczu góry. Stara Bratislava jest cała w sklepieniach, niespodziewane przejścia otwierają się pod domami, wąziutkie przesmyki pod sklepieniami prowadzą do pięknych, jasnych placyków. W węglach często stoją kolorowi święci. Jacy? Najczęściej św. Stefan. Wśród starych domów wyblakłe srebrne napisy. Jakie? „Seminarium ducis Emerici“, „Academia Istropolitana“ Czarne tablice znaczą historycznych lokatorów. Jakich? Petöffi, Jokay, Kossuth... Niespodziewanie wśród murów, na wyniosłości stoi wielka gotycka, dostojna katedra. Jest to Dóm. Katedra

koronacyjna. Czyja? Królów węgierskich. Ukryty na małym placu świeci piękną fasadą pałac, w którym podpisał Napoleon pokój z Franciszkiem I. To jest pałac prymasów. Jakich? Węgierskich. Przechodząc, wstępuję do pięknego starego kościoła Franciszkanów. W ławkach siedzą baby w białych chustkach i paru inteligentów. Od ołtarza mówi ksiądz. Po jakimu? Po węgiersku. Na stromej uliczce bije się dwóch obdartych łobuzów, dokoła zbiera się gromadka. Z niskich sklepiionych sieni wybiegają starsi, żeby uspokoić. Po jakimu klną chłopcy, po jakimu gada ulica, po jakimu wołają biedni ludzie? Po węgiersku. Stara Bratislava, to stolica Węgier od połowy XVI-go do końca niemal XVIII-go wieku, to Pozsony (czytaj Pożoni).

Słowacy mają język i religię, nie mają żadnej tradycji, ani „kapitału historycznego“. Boją się, że gdyby zerwali z Czechami jedność państwową, to stare kamienie Pozsony i to wszystko, co one reprezentują, zwali im się na głowy. Muszą mieć poparcie na wewnątrz, nie tylko na zewnątrz. Dlatego szczerze zatrzymują się w tej chwili na autonomii.

Słowaków jest w Europie (w Czechosłowacji) blisko trzy miliony, to znaczy więcej niż Litwinów, niż Łotyszów, niż Estończyków. Ponadto w Ameryce jest ich blisko półtora miliona. Tym się tłumaczy wielkie znaczenie emigracji amerykańskiej i rolę jaką odegrała ostatnio jej delegacja z dr. Hletko na czele. Był on zarówno podejmowany z honorami w Pradze przez prezydenta Benesza i premiera Hodzę, jak i z entuzjazmem witany w Bratisławie wśród pełnych nadziei okrzyków:

„Hlinka, Hletko

Da nam wszystko!“

Słowacy mają bardzo wysoki przyrost naturalny i to nie tylko wśród ludu ale również wśród inteligencji. Promille przyrostu naturalnego wynosi wśród Słowaków przeszło 10, to jest więcej niż wśród Polaków w Polsce, nie mówiąc już o Czechach, których przyrost naturalny wynosi zaledwie 3 promille rocznie. Dlatego ciężar gatunkowy Słowaków i znaczenie kwestii słowackiej będzie wzrastać coraz bardziej, a wraz z nimi i aspiracje narodu słowackiego.

* *

*

Na najwyższym punkcie miasta, na skale stoi Hrad, ruina widoczna z trzech państw — Czechosłowacji, Niemiec i Węgier. Stary zamek króluje nad Dunajem. Przechowywano w nim przez parę wieków koronę św. Stefana. A przedtem? Na razie nie wiedziałem, co przedtem. Ale pojechałem Dunajem do ujścia Morawy, gdzie na odwiecznej granicy słowiańsko - germańskiej stoją, wyrosłe ze skały i pionową olbrzymią ścianą opadające wprost w fale Dunaju ruiny zamku Dewin. Tam się nagle zorientowałem. Dewin? Ależ tak! To była stolica Księstwa Wielkomorawskiego, a potem władał tą ziemią wuj świętego Stefana. Ten wuj władał nią nie z Budy, ani nie z Pragi. Miał nawet oryginalny pomysł wbijania pali w takie graniczne rzeki, jak Sala w Saksonii, Dniepr pod Kijowem, Dunaj pod... Bratysławą. Nazywał się ten wuj — Bolesław Chrobry.

W SERCU SŁOWACZYZNY

Dietwa to jest wieś, Dietwa to jest miasteczko, Dietwa to jest okolica, a w gruncie rzeczy Dietwa to jest wielka kotlina wśród rozłożystych gór, na południe od Wielkiej Fatry i Krusnohory, na północ od niziny węgierskiej. W środku tej kotliny jest kościół, sklep Baty, apteka, cmentarz, dom ludowy, gospoda i trochę chałup — to chyba wszystko.

Stoję przy oknie plebanii. Na wszystkie strony połogie zbocza, porośnięte świerkowym lasem, a wśród nich małe chałupy. Miejscowy proboszcz zatacza ręką szerokie koło po okolicznych wierzach:

— To jest moja parafia — mówi — Dietwa — 5000 mieszkańców.

Dietwa ma swój odrębny strój, swoje zwyczaje i swój temperament. W chwili rozpadu

monarchii habsburskiej, w ciągu paru godzin usunięto wszelkie ślady władzy węgierskiej, nie wyłączając żandarmów. A potem, w pierwszych latach Republiki, zginęło bez wieści w Dietwie kolejno 12 żandarmów czeskich.

Do Dietwy nie jest tak łatwo się dostać. Leży ona w powiecie zwoleńskim. Do Zwolenia z Polski, z Czech czy w ogóle z Europy jedzie się koleją od Turczańskiego Świętego Marcina. Pociąg wspina się na zbocza Wielkiej Fatry, jedzie górskimi lasami i halami, wpada w ciemne długie tunele, zsuwa się po zboczach, wjeżdża na strome rąbaniska, przesuwa pod pionowymi grapami, aż z jednego długiego tunelu wypada nagle w powietrze. Pod nogami bardzo nisko w dole leży wielka dolina przecięta rzeką i upstrzona wsiami. To dolina Hronia, jednej z głównych rzek południowej Słowaczyny. Zjeżdża się żelaznymi serpentynami aż na dno doliny i stamtąd do Zwolenia już blisko.

Dietwa leży jeszcze dalej w stronę Łuczeńca i graniczy państwowej węgierskiej, a zupełnie już niedaleko węgierskiej granicy etnograficznej. Pociąg staje w szczerym polu w rozległej kotlinie

wśród rozłożystych ciemnozielonych gór. Jest tylko budka, bez poczekalni nawet, z napisem: „D'etwa“ — ortografia miejscowości nieustalona, a może sprzeczna między Słowakami a administracją czeską. Koło budki stoi mały zniszczony autobus, kursujący do wsi odległej o parę kilometrów stąd.

Na Boże Ciało w Dietwie jest wielki odpust. W tym roku przybyło „tylko“ 4000 pątników, bo było chłodno. Kościół jest wielki, prawie wszystkich pomieścił. Patrzałem na to z chóru — widok, jakiego się nie zapomina. Bogactwa barw i motywów, fantazja niemal egzotyczna, a jednocześnie bliska.

Kobiety dietwiańskie noszą czepki rogate, wyszywane perełkami, jak średniowieczne księżniczki. Na to kładą nakrochmaloną batystową chustkę, zwaną „szatka“. Najpiękniejszą jednak częścią ich stroju są rękawy. Rękawy nie są od koszuli, ale stanowią osobną część stroju i nazywają się „opletek“. Są to rękawy krótkie, bufiaste, z grubego sztywnego płótna. Lwią część rękawa zajmuje haft. Haft jest kolorowy, z barw jaskrawych, ale niezwykle harmonijnie dobra-

nych. Nie widziałem wśród paru tysięcy kobiet ani dwóch haftów podobnych. Każdy był zupełnie inny, bo haftują Dietwianki same i ambicją jest mieć wzór oryginalny.

Poniżej rękawów jest krótki wzorzyście haftowany stanik i kilka fałdzistych, kolorowych, lecz ciemnych, spódnic. Na nogach długie buty.

Dietwiancy noszą małe, zdobne piórami kapelusze na bakier na czubku głowy. Na ramionach mają brązowe, czerwono zahaftowane guziki, spięte z przodu szerokim skórzanym pasem. Niezwykle oryginalne są spodnie, zwane po prostu „gatki“. Są to spodnie bardzo szerokie, białe, płócienne, nie wpuszczane w buty, lecz zakończone frendlami i luźno wiszące poniżej kolan, nad cholewami. Na te „gatki“ kładzie się fartuch — czarny, wyszywany w wielkie czerwone i żółte kwiaty. W ręku „walaszka“, czyli ciupaga, wyostrzona jak nóż i ostrze schowane w blaszaną pochewkę. Tych to „walaszek“ zabroniono ze sobą zabierać Dietwiancom na manifestacje narodowe na Zielone Świątki.

Niektórzy starsi ludzie noszą jeszcze tradycyjny strój: zamiast koszuli, króciutki kaftanik,

zakrywający ledwie piersi. Pomiędzy kaftanikiem a skórzanym pasem jest — brzuch. Jest to tak zwany dietwiański „holy pupok“.

— To wszystko już jest zmodernizowane — mówi do mnie młody dziennikarz bratysławski. — Jak byłem dzieckiem, pamiętam, przed wojną w Dietwie, to starzy ludzie nosili jeszcze warkocze — po dwa z każdej strony, a z tyłu włosy do ramion. Warkocze mocno nasmarowane były masłem i bawiło mnie to bardzo, że w kościele tyle było much.

Kto chce to zobaczyć, musi się jednak śpieszyć — za lat kilkanaście, może to wszystko zniknąć, mimo opieki słowackiej inteligencji. Bo młodzi chłopcy w Dietwie już przeważnie chodzą w miejskich kapeluszach, we frenczach i bryczesach. Tylko dziewczyny po staremu chodzą „w kroju“.

Strój dietwiański nosi już wyraźne cechy zależności od węgierskiego stroju z dolin, jak choćby fartuchy męskie — chłopca węgierskiego z daleka poznać można po tym, że chodzi w fartuchu, nawet w zwykłym czarnym fartuchu do stroju miejskiego. Krój dietwiański jest bar-

dzo różny od innych strojów Słowackich, a jest ich w tych niewielkim kraju bogactwo i różnorodność ogromna, tak że każda dolina ma swój odrębny strój i obyczaj, cała zaś Słowaczyna składa się z wielkich dolin, poprzedzielanych łańcuchami i gniazdami górskimi.

Najpiękniejszy bodaj strój jest w dolinie Wagu—to tak zwany krój piszczkański. Kobiety noszą tam wielkie czepce i pięknie haftowane przejryste rańtuchy, mężczyźni wielkie kapelusze ze wstążkami, koszule o niebywale szerokich haftowanych rękawach i kolorowe, przeważnie błękitne spodnie. W dolinie Orawy królują góralskie białe portki wyszywane czerwono a nierazko wpuszczane w długie buty. Na Spiszu są aż trzy odrębne stroje — jeden pochodzenia podhalańskiego, drugi niemieckiego — czarny gorset, czerwona spódnica, fartuch, mała chusteczka, trzeci pochodzenia bodaj ruskiego — bogate barwne wyszycia, kolorowe sztywne czepce, długie buty. Na wschodniej Słowaczynie znowu coś zupełnie innego: kobiety noszą suknie, jak Węgierki z operetek — króciutkie, kolan nie sięgające, po kilkanaście jedna na drugiej, chwie-

jące się przy chodzie jak krynoliny. Na taką spódniczkę spada pęk wstążek z karku a z pod niej wystają długie, nierazko lakierowane buty. Mężczyźni w tych okolicach noszą białe sukienne spodnie, ale już bez wyszyć.

W Dietwie może nie jest najpiękniej, ale jest najbardziej swoiście i niezależnie, choć ubogo. Miarą ubóstwa może być, że na doroczny wielki odpust na Boże Ciało znaczna część kobiet przychodzi boso. Nie przypominam sobie, żebym widział coś podobnego u nas, nawet w ubogich okolicach. Robi to dość oryginalne wrażenie — wspaniałe hafty, barwny czepiec, a bez butów nawet w kościele.

* *
*

Obiad na plebanii. Zupełnie jakby się nie wyjeżdżało z kraju. Więc rosół i kurczęta i domowa nalewka i pani gospodyni w czarnej sukni i ksiądz kanonik pilnujący, aby kto przypadkiem nie przestał na chwilę jeść.

— Niech sa patrzy — zachęca ciągle uprzejmie.

W końcu stołu siedzą dwaj wikarzy. Chłopaki jak tury. Wesole, inteligentne twarze — obaj oczywiście ze wsi i obaj zapaleni słowaccy narodowcy. Wójt, czyli „pan rychtar“ bardzo godny, dowcipny i obyty — zna nawet Polskę, był w Gdyni. Organista: wzrost blisko dwa metry, twarz skupiona i zadzierzysta, wygląda młodo, choć jego najstarszy chłopak już za rok będzie się „maturować“. Organista, to wielki organizator i bojowy nacjonalista słowacki, choć rodem spod Nitry, tu się już całkiem zaklimatyzował, chodzi nawet „w kroju“ i jest wtedy na co popatrzeć.

Jest jeszcze „pan notar“. (Na Słowaczyźnie zachowano węgierski ustrój gminny, który polega na tym, że podział administracji państwowej i samorządowej przeprowadzony jest aż do każdej wsi — samorząd reprezentuje wybierany wójt, czyli oficjalnie „starosta“ a zwyczajowo „rychtar“ i mianowany urzędnik, zwany oficjalnie „vedouci“, a zwyczajowo „notar“). Inteligent, rozkochany w Dietwie, opiekuje się miejscowym muzeum, chroni zabytki, reklamuje okolicę.

W tym roku przypadało trzystolecie nadania Dietwie praw wiejskich. Były uroczystości na stoku góry, wznoszącej się czterysta metrów nad kotłina, a uwiecznionej w poezji słowackiej.

Wszyscy ci ludzie wyszli ze słowackiej wsi w pierwszym pokoleniu. Siedzący obok mnie młody działacz słowacki, opowiada:

— Przez sześć lat chodziłem do gimnazjum piechotą. Dwie godziny górskiej drogi tam i dwie godziny z powrotem. W zimie wychodziło się nocą, a śnieg leżał po pas. Matka z suchego drewna i namoczonego w tłuszczu papieru robiła nam pochodnie i przy świetle tego łuczywa wędrowaliśmy do szkoły.

— Teraz młodzież ma za dobrze — zauważa organista — moja córka, jeździ do seminarium autobusem do Zwolenia.

— Hej, hej — potakuje wójt — dziś mają za dużo udogodnień. („Tak“ w języku oficjalnym czeskosłowackim jest „Ano“ ale używa go mało kto — Czesi przeważnie mówią „Jo“, a Słowacy „Hej“).

Wójt przechodzi raptem na tematy narodowe.

— W Polsce jest naprawdę większa demokracja niż u nas. W Polsce mówi się każdemu „panie“, nawet do „nosicza“ (tragarza) mówi się: „proszę pana, niech pan weźmie“, u nas do zwykłego człowieka mówi się „wy“, a do urzędnika mówi się „panie wrchni rada“, „panie władni rada“, „panie wrchni władni rada“, i jeszcze jak tam. A jeśli się, broń Boże, pomylić, nie załatwi. A najwięcej mi się w Polsce podobał Kościan.

— Kościan?

— Miasto za Poznaniem. Bo tam żyje tylko jeden jedyny Żyd i pokazują go jako wielką osobliwość.

* *
*

Ponad kamienistą drogą, na zboczu leży stary cmentarz („cintorin“ — po słowacku). Z bujnej trawy wznoszą się drewniane krzyże. Pokryte półkrygiem kowanej blachy, rzeźbione są bogato w ludowe motywy. Na nich, przeważnie nieortograficzne, słowackie napisy: „Tu otpociva f Kristu Panu...“.

Młody malarz słowacki objaśnia mnie:

— Proszę patrzeć, to są wszystko architektoniczne motywy renesansowe. Wasza sztuka góralska oparta jest na motywach gotyckich, nasza na renesansowych, włoski renesans. Niech pan spojrzy na ten ornament kwiatu, to są już wpływy sztuki tureckiej. Ale najstarsze wpływy na Słowaczyźnie są rzymskie — wschodnia Słowacyzna stanowiła część rzymskiej prowincji Dacji. Później w tych górach osiadali między nami różni przybysze — Wołosi, Włosi, Węgrzy, nawet Tatarzy.

W sadzie „farara“ (proboszcza) siadamy z „panem kanonikiem“ w cieniu olbrzymiego, na wpół uschniętego dębu.

— Ten dąb — mówi „monsinior“, (tak się tu tytułuje poważniejszych księży) ma blisko pięćset lat. Tu była kiedyś dąbrowa. To było za czasów Ludwika Jagellonowca. Ten dąb jeden już tylko dziś pozostał.

A tymczasem od strony domu katolickiego doleciały dźwięki tęsknej melodii. To młode Diawanki tak z całych gardeł śpiewały po góralsku:

„Holub, holub, holubienka
Sedáva mi do okienka
A tak mi peknie hrkuta,
Ze ja nie mám frajerika.
Frajerika by mohla mat',
Ale si ho nie wiem vybrat',
Jesto jeden po mej woli,
Otec, mat' mi nie dowoli,
Jen tie moje čierne oczka
Czo plakaly ze pol roczka
Ze pol roczka do jesieni
Kym sa szuhaj nie oženi,
Už sa szuhaj, už sa ženi,
Už sa dievčza rozweseli“.

FARAR RUŽOMBERSKY

O smierci ks. Hlinki dowiedziałem się w dziwnych okolicznościach. Byłem w kościele w jednej z wiosek na polskim Spiszu. Godzina była południowa, kościół pusty. W ławkach porozkładane gęsto stare książki do nabożeństwa — część polskich, ale większość przedwojennych słowackich. Jedne wydawane jeszcze po czesku, zanim zwyciężyła słowacka gramatyka Stuhra, inne słowackie ale gotyckie, inne jeszcze wydawane w Kalwarii Zebrzydowskiej... po słowacku, niektóre zeszywane z polskich i słowackich, lub nawet słowackich i czeskich tekstów. Wziąłem właśnie jedną z nich, oprawną w skórę do ręki: ... ułożył i zebrał „Andrej Hlinka farar ružomersky“. W tej chwili do kościoła, wszedł proboszcz jakiś podniecony: „Wiecie — zwrócił się do mnie—Hlinka umarł“. I tak z modlitew-

nikiem Hlinki na głuchej polskiej wsi w ręku dowiedziałem się o zgonie „ružomberskiego farara“.

* * .

*

Na balkonie teatru miejskiego w Bratysławie przed gęstą grupę działaczy i organizatorów wysunęła się chuda wysoka sylwetka starego górala w sutannie. Głowa jak z drzeworytu Skoczylasa: osadzona na suchej szyi, mała, okrągła, z orlim nosem, włosy długie, białe, odczesane na kark. Kiedy stanął przed mikrofonem, naraz z kilku tysięcy gardeł buchnął śpiew. Śpiewali ani jak hymn, ani jak marsz, ale jak pieśń kościelną. Dopiero po chwili zorientowałem się w słowach refrenu:

„Pryjde Hlinka z Ružomberku

Prynese nam svobodenku“.

A kiedy się uciszyło, stary ksiądz zaczął mówić głosem już jak u starca matowym, ale silnym, coraz silniejszym i coraz namiętniejszym.

— Bratia a sestry! Posledni już raz hovorim svemu narodovi...

— Czo, czo? — rozległy się koło mnie niepokojne szepty. — Hlinka mówi, że to ostatni raz...

A nazajutrz z tego samego miejsca, do tego samego mikrofonu mówił główny antagonista Hlinki, premier Hodža. Hlinka poprzedniego dnia powtarzał raz po raz „Slovensky narod“, Hodža nazajutrz „Czeskoslovensky Stat“ i „nasz narod“ — nikt nie wiedział co to jest „nasz naród“. Dawniej Hodža mówił „narod czeskosłowacki“, w tym roku musiał cofnąć się przed naporem Hlinki o jeden krok i mówił już w czerwcu „nasz naród“. Bo Hlinka miał nad Hodżą tę ogromną przewagę, że przeszedł i przez więzienie węgierskie i przez więzienie czeskie.

W dwa miesiące potem znowu spotkali się na jednym miejscu na rynku nie bratysławskim ale ružomberskim: Hlinka na katafalku, Hodža na żałobnej trybunie. I teraz po raz pierwszy na tym pogrzebie katolickiego księdza, Milan Hodža, syn pastora Hodży, powiedział „my, naród słowacki“.

...moja jest przyszłość

i moje za grobem zwiączęstwo...

* *
*

Kościół w Ružomberku stoi wysoko na górze nad Wagiem, skąd wiodą strome, kręte „Kościelne Schodki“. Z jednej strony kościoła jest „Miejski dom“, w którym mieści się obok ratusza plebania, z drugiej... Tatry. Za Wagiem leżą Zachodnie Tatry. Wiatr od nich wieje porywisty i wali wprost w otwarte okna plebanii. W dół ku Tatrom zrobiono wspaniałe amfiteatralne schody.

— To myśmy zrobili — z dumą powiada ksiądz Hlinka.

Obok schodów duży nowoczesny i naprawdę ładny gmach katolickiej szkoły ludowej. U dołu do schodów przyczepiony mały biały dom — filia Towarzystwa Wydawniczego Świętego Wojciecha, którego prezesem był ks. Hlinka.

Naprzeciw ratusza stoi lodziarz z wózkiem.

— Gdzie tu jest plebania? — pytam.

— A, to tamte drzwi.

A kiedy odchodzę, słyszę, jak do stojącej opodal baby mówi głosem pełnym przejęcia:

— To tam bydlu Hlinka.

Białe schody z figurą Matki Boskiej. Na prawo drzwi, na lewo drzwi, nikogo. Korytarz, kuchnia, dziewczyna w stroju ludowym prasuje bieliznę.

— Pan farar doma?

— Nie znam, idte hore.

Idę na górę, stukam w jasne drzwi. Nic. Wchodzę — przedpokój. Uchyłają się drzwi w mroku i ukazuje się jakiś ksiądz.

— Czy z monsiniorem Hlinką można się widzieć?

Ksiądz kładzie palec na ustach.

— Tss — mówi cicho — teraz nie. Teraz pi-sze czlanok (artykuł). Poczkejte.

Przedstawiłem się, wytłumaczyłem, dałem bilet. Czekałem, patrząc na barwne begonie na parapecie.

— Już można.

Jasny, bardzo jasny pokój. Dwie półki z książkami, biurko zawalone stosem gazet. Za biurkiem Hlinka. Stoi. Trochę zgarbiony. Siwe oczy patrzą ostro:

— Czego pan chce?

Otwieram usta, żeby w tej niezbyt miłej sytuacji coś wyjaśnić, a przede wszystkim powołać się na kogoś, ale Hlinka przerywa:

— Czego pan ode mnie chce?

Widzę, że jednocześnie jego ręka błądzi po biurku i przewraca jakieś kartki — te kartki to są bilety wizytowe. Na wierzchu bilet z jakimś angielskim nazwiskiem i dwuwierszowym tytułem. Zrozumiałem.

— Nie — mówię — nie chcę żadnego wywiadu.

Siwe oczy nie tracą bystrości, ale tracą ostrość.

— Siednijcie — wskazuje mi krzeszło i sam siada. — I cóż pan sądzi o Słowaczyźnie?

W ten sposób role się odwróciły.

Nie, Hlinka nie był typem gołębiego starca-kapłana. Ale był bardzo uduchowiony. Silny, kościsty, stary góral o pięknej, mądrej twarzy. Gorący, ambitny (to się czuło), ale żyjący tylko myślą o Słowaczyźnie. Niesłychanie bezpośredni. Otwarty i bez żadnej dyplomacji. W pewnym momencie rozmowy wspomniał księdza Machaya i aż się zaperzył.

— Co to mógł być za działacz słowacki! A Polakiem został. Mówilem: Polska ma dość ludzi, nowych nie potrzebuje, a Słowaczyźnie brak. A on Polakiem został. Teraz jakiś tam „Dzwonek Niedzielny“ redaguje. A taki mógł być z niego wspaniały działacz słowacki!

Myślę, że może w tych dawnych latach, kiedy się Orawa dopiero zaczynała budzić do słowackości i do polskości, chciał Hlinka widzieć w młodym Machayu, podobnym nawet do siebie pod względem typu zewnętrznego, swego następcę. Nie zastanawiał się nad tym, że u Machayów w domu modlili się i rozmawiali po polsku. W sprawach narodowych niesposób być obiektywnym.

Rozmowa nasza trwała dość długo (skoro żywemu powiedziałem, że nie robię wywiadu, nie będę jej treści opisywał po jego śmierci) i skończyła się bardzo nagle. Ks. Hlinka wstał i powiedział:

— Nie mam dziś już więcej czasu.

Potem wyprowadził mnie do przedpokoju. Starannie objaśnił, którędy wyjść, zapytał czy trafię dalej sam i z daleka zawołał:

— Z Bohom!

Przed drzwiami plebanii na tle Tatr stała bryczka zaprzężona w dwa konie. Wikary, który mnie przedtem wprowadzał, stał koło bryczki.

— Jedziemy teraz — objaśnił mnie — do sąsiedniego proboszcza na jubileusz.

Było to w czerwcu.

Już wtedy ksiądz Hlinka mdlał przy ołtarzu, już wtedy jadł tylko kleiki (choć pijał jeszcze śliwovicę). Już wtedy, gdy inni siadali do kart w „narodnym domu“, on drzemał w fotelu, ale budził się gdy się gra kończyła i surowo pilnował, by wszystkie wygrane oddawano „pre narod“.

Od sierpnia nie ma rynku w Rużomberku. tylko jest Plac Andrzeja Hlinki, ale nie ma na plebanii przy tym placu — Andrzeja Hlinki. Proboszcz Słowaczyny jest już gdzie indziej. A jego ciało spoczywa na cmentarzu pod napisem:

Andrej Hlinka
Farar Rużomersky.

SLOVENSKA OTÁZKA

W olbrzymich podziemiach wiedeńskiego kościoła Kapucynów spoczywa stu kilkudziesięciu Habsburgów. A nie tak daleko od Wiednia, w Brnie są inne podziemia: kute w skale, pozbawione światła kazamaty Spilbergu. W Kaisergruft w Wiedniu leżą Habsburgowie rozdzieleni po kryptach wedle różnych gałęzi rodu. W Spilbergu kazamaty rozdzielano wedle różnych narodowości Monarchii. Te dwa podziemia, to dwa bieguny historii XIX-go wieku, to cały skrót Wiosny Ludów. Dziś i jedno i drugie są tylko zabytkami, które się zwiedza za skromną opłatą.

Rzecz ciekawa — na tradycję Wiosny Ludów powołują się najbardziej t. zw. Wielkie Demokracje Zachodu. A przecież, właśnie one nic z Wiosną Ludów nie mają wspólnego. Wiosna Ludów w połowie ubiegłego wieku nie rozbudzi-

ła świadomości narodowej żadnego narodu zachodnio-europejskiego.

Katalończycy, Baskowie, Szkoci, Walijszczy, Bretończycy, Alzatzycy, Flamandowie — nie przestali być wtedy Hiszpanami, Anglikami, Francuzami, czy Belgami. I na odwrót: Norwegowie nie stali się Duńczykami, ani Wallonowie Francuzami. Nie, to co stanowiło istotę Wiosny Ludów — uświadomienie sobie, że naród to nie jest ludność państwa, nie dotarło wcale na zachód — tam do dziś dnia naród to jest ludność państwa. W „Wielkich Demokracjach Zachodu“ wspólność cywilizacyjna narodu opiera się na wspólnej kulturze prawnej, nie na wspólnej kulturze językowej. Wiosna Ludów, to była nasza, środkowo-europejska sprawa: Włochy, Niemcy, Węgry, Polska... Czy między tendencjami totalnymi a Wiosną Ludów nie ma jakiegoś związku?

Wiosna Ludów nie tworzyła narodów, brały w niej udział narody już ukształtowane, te które miały niegdyś swój byt państwowy, choćby czasem w postaci kilku państw, słowem te narody, które miały swoją warstwę polityczną.

Wiosna Ludów na Litwie była polską wiosną, Wiosna Ludów na Słowacyzynie była węgierską wiosną.

Zestawienia Litwa — Słowacyzyna nie robię przypadkowo. Jest między tymi narodami pewne podobieństwo położenia. Słowacy są jako pełny naród, tworem równie świeżym, jak Litwini. Przewaga kultury węgierskiej była do wojny równie bezwzględna na Słowacyzynie, jak przewaga kultury polskiej w tym czasie na Litwie. Odrębność językowa i kulturalna Słowaków od Węgrów jest przy tym równie silna jak odrębność Litwinów od Polaków. Szlachta węgierska na Słowacyzynie przypomina żywo polską szlachtę na Litwie — element to bierny, a zarazem kulturalny, posiada specjalny patriotyzm „krajowy“ i nic się absolutnie nie nauczyła w ostatnim półwieczu.

A Czesi? Czesi na Słowacyzynie są jak Rosjanie na przedwojennej Litwie. Ten sam urzędniczy element, ten sam stosunek do ludności miejscowej, ta sama solidarna pogarda ze strony i Słowaków i Węgrów, którzy ze sobą walczą, ale współżyją ze sobą od wieków. Kto uważa to

ostatnie porównanie za powierzchowne, temu polecam zapoznanie się z dziełami czeskich profesorów uniwersytetu w Bratislavie (w tym słowackim uniwersytecie wykładają wyłącznie Czesi i jeden docent Polak), a zwłaszcza pana profesora Chaloupeckiego, historyka urzędowego — aby się przekonał, czy to nie jest mentalność w stylu słynnego Ilłowajskiego (aż do jezuitów i słowianstwa włącznie).

Analogię litewsko-słowacką uświadomiłem sobie znagła. Stało się to, gdy pewien starszy Węgier oświadczył mi:

— Ach panie, ten cały ruch polityczny słowacki, to my Węgrzy, my sami zrobiliśmy. Przecież taki Stuhr był Węgrem!

— „Przecież taki Stuhr był Węgrem“. — Jak bardzo znajome powiedzenie. Ale to już jest dalszy ciąg Wiosny Ludów — to jest Lato Ludów.

Drugi etap Wiosny Ludów, to było budzenie narodów, które nie miały swojej warstwy politycznej, w których człowiek awansując z ludu do „inteligencji“ przyjmował inną kulturę. I to budzenie odbywało się wszędzie, nie tylko w Pols-

ce, w ten sposób, że ktoś odrzucał tę wyższą kulturę, nieraz już nie w pierwszym pokoleniu nabytą, odrzucał na rzecz rodzimości, bliższego związku z ludem, w którego otoczeniu wyrastał i żył. I myśl, że to „myśmy sami zaczęli robić“ nie kryje w sobie absolutnie żadnej, nawet najbardziej złudnej pociechy na przyszłość, a jako forma pretensji jest dość zabawna.

Więc teraz jest Lato Ludów w Europie Środkowej (we Wschodniej dopiero przedwiośnie). Wszystkie ludy, mające jakiegokolwiek poważniejsze po temu dane, stały się narodami.

Stali się narodem i Słowacy. Trzeba tylko pamiętać, że stali się bardzo niedawno. Wśród wszystkich inteligentów słowackich, jakich poznałem, nie spotkałem ani jednego, któryby był synem inteligenta.

* *
*

Jaka ta Słowaczyna?

Przede wszystkim od razu rzuca się w oczy, jest góralska. Słowacy trzymają się gór. Granice etnograficzne Słowaczyny, to granice wy-

zyn. Na południu — dokąd sięgają góry, tam siedzą Słowacy, gdzie zaczyna się wielka równina. Zaczynają się i wsie węgierskie. Na zachodzie starą granicą polityczną między Morawami a Słowacyzną jest grzbiet Białych Karpat. Ale Słowacy przekraczają ten grzbiet i daleko w stronę Brna, tam wszędzie, gdzie jest pogórze, sięga element etnograficznie słowacki, choć pod względem uświadomienia narodowego czeski. Jest to t. zw. Morawskie Słowacko. Na wschodzie tylko granica etnograficzna między Słowakami a Rusinami nie da się określić. Najpierw idą tam wsie rzymsko-katolickie z językiem czysto słowackim, potem wsie mieszane rzymsko-katolickie i grecko-katolickie, ale językowo czysto słowackie, potem wsie grecko-katolickie językowo słowackie, potem wsie grecko-katolickie, językowo mieszane: czysto słowackie i gwara przejściowa, potem grecko-katolickie z gwarą przejściową i ruskim, wreszcie czysto ruskie. A na północy? Jaka jest granica etnograficzna polsko-słowacka? Są Polacy, którzy dla polskości rewindykują nie tylko Górną Orawę i Zamagórze Spiskie, ale nawet Czadeckie i kawałki środkowego Spisza.

Jak z tym jest naprawdę? Językowo niewątpliwie Zamagórze i Górna Orawa mówią dialektem polskim, góralskim, choć ma on już pewne cechy słowackie (brak dźwięków nosowych, jak ą i ę oraz ł zamiast l). Jeżeli chodzi o strój i obyczaj, to na Górnej Orawie przeważa polski, na Zamagórze słowacki. Do wielkiej wojny uświadomienia narodowego nie było prawie żadnego — dopiero zaczynano je budzić. Dziś po polskiej stronie granicy u młodszych jest wyraźne uwiadomienie narodowe polskie, po czzechosłowackiej — słowackie.

W „pierwszej dwudziestce“ najwybitniejszy działaczy słowackich jest trzech rodem z obszaru językowego podhalańskiego.

Podhale jest w całej Polsce szeroko znane. Zdajemy sobie wszyscy sprawę z jego odrębności, z bogatego folkloru, oryginalnego zdobnictwa, melodii, bogactwa stroju. Podhale różni się tym wszystkim wyraźnie od reszty polskiej Góralszczyzny. Przez Gorce idzie wyraźna linia etnograficzna. Na czym polega odrębność Podhala zrozumiałem dopiero poznawszy Słowacyznę, prawdziwą ojczyznę Janosika i jego zbójników.

Podhale jest kulturalnie, w sensie kultury ludowej, nie językowej ani narodowej, słowackie. Ten sam typ piosenki, ta sama legenda Janosika, te same motywy zdobnicze, te same ciupagi i kierpce, ten sam zawadiacki styl żyje na całej Słowacyzynie. Słowaczyna, kraj górski, składa się z samych takich wielkich dolin, jak dolina Dunajca czyli Podhale. A każde takie Podhale ma na Słowacyzynie inny strój, zawsze barwny i oryginalny i trochę inne melodie, ale zawsze zakończone „ujkaniem“. I rzecz ciekawa, na Słowacyzynie tak samo jak na Podhalu zawadiacki i bitny lud wydaje ze siebie bardzo zdolną ale zupełnie nie bojową, raczej urzędniczą i potulną inteligencję.

Słowacy bardzo lubią Podhalańców, ale bardzo nie lubią gdy im mówić o podobieństwach Podhala do Słowaczyny. Nie przychodzi im do głowy, że mogliby rościć jakiegokolwiek pretensję do Podhala, przeciwnie boją się, że my ich uznamy po prostu za odmanę naszych górali i zechcemy akaparować. Kiedy powiedziałem księdzu Hlince, że Podhale jest kulturalnie do pewnego stopnia słowackie, rozgniewał się bardzo.

— Nie, nie — mówił — nic podobnego. Ja znam Podhale. Ono jest zupełnie inne niż Spisz i Orawa. Tam jest bardzo wyraźna granica języka i kultury. Nie, nie. To nie ma nic wspólnego z kulturą słowacką. Kultura słowacka to jest to — z tymi słowy pokazał mi ręką na szafę biblioteczną wypełnioną słowackimi książkami: pismami Vojenskiego i Stuhra, poezjami Hviezdoslava i Kalincziaka, tłumaczeniami Sienkiewicza i Reymonta.

* *
*

Na stromych wzgórzach stoją stare zamki i zameczki Andrassych, Esterhazych, Bethlenów. W krętych uliczkach starych miast mieszkają Weisfische, Mazowie, Wolffy. W nowoczesnych willowych dzielnicach przy starych miasteczkach siedzą Krliczkowie i Vodiczkowie, a w środku nowej dzielnicy stoi zawsze szklany dom Batty. Po bajecznie kolorowych chałupach i po plebaniach przy starych gotyckich farach „bydlą“ Słowacy.

Stare zamki, kręte uliczki i kolorowe chałupy były tu zawsze. Urzędnicze dzielnice są nowe.

Ale nie to jest największa zmiana ostatnich lat, że spod władzy zamków zabrano większą część ziemi, że powstały nowoczesne dzielnice — największe zmiany dokonały się wewnątrz kolorowych chałup.

W strukturze psychicznej Słowaków zaszły w ostatnim dwudziestoleciu ogromne zmiany. Nie widziałem Słowaczyny przed dwudziestu laty, ale widziałem ją dziesięć lat temu i to mi daje pojęcie o wielkiej ewolucji narodu słowackiego. Dziesięć lat temu inteligencji słowackiej prawie nie było. Miejscowa inteligencja, głównie księża, to byli Madziaroni, czyli Słowacy dwujęzyczni, kulturalnie zaliczający się do narodu węgierskiego. Węgrzy, niebawem przyciśnięci siedzieli wtedy zupełnie cicho i jedynym przeciwnikiem Czechów na Słowaczyźnie byli Madziaroni.

Przez dwadzieścia lat wyrosło pokolenie Słowaków, którzy po węgiersku już w ogóle nie umieją. Inteligencja słowacka, z wyjątkiem kilku jednostek, to ludzie poniżej czterdziestki. Starsi stali się Słowakami już jako zupełnie ukształtowani ludzie. Autonomiści zarzucają obecnemu

premierowi czechosłowackiemu, Milanowi Hodży, że jeszcze po wojnie jeździł do Budapesztu i w imieniu Słowaków chciał się „przypoić“ do Węgrów, że uważał aż do wojny Słowaków za jeden ze szczepów narodu węgierskiego. Na odwrót centraliści zarzucają jednemu z najwybitniejszych autonomistów, księdzu Tiso, że aż do wojny pisał się Tiszo i uchodził za Węgra. Zarzuty te, nie wiem w jakim stopniu słuszne, dowodzą, jak świeżą sprawą jest u starych Słowaków ich pełna świadomość narodowa. Otóż przed dwudziestu laty Czesi mieli wszelkie podstawy do tego, że im się uda asymilacja Słowaków: inteligencji słowackiej prawie nie było, podobieństwo języków jest bardzo daleko posunięte, jedyna niemal inteligencja słowacka w tym czasie to były rodziny pastorów ewangelickich, wywodzące się kulturalnie a częściowo i pochodzeniem od husyckich emigrantów Czechów. (Z takich rodzin wywodzi się zarówno premier Hodża, jak i poseł czechosłowacki w Warszawie Slavik i wszyscy niemal słowaccy „Czechosłowacy“). A jednak proces, który przebiegł na Słowaczyźnie w pierwszym dwudziestoleciu istnienia Republiki,

nie był procesem asymilacji, lecz procesem dysymilacji Słowaków od Czechów. Słowacy dojrżeli w Republice jako naród. Współżycie z Czechami ujawniło nie podobieństwa, ale różnice, uświadomiło Słowakom ich odrębność. Poszła walka o szkołę katolicką, o język słowacki w szkole średniej. Ba, nawet podobieństwo języków okazało się... przeszkodą. Polak nie zawsze odróżnia czeski od słowackiego, choć różnice fonetyczne są dość znaczne (dla języka czeskiego charakterystyczne są dźwięki ř i długie ji, których nie ma w słowackim). Polakowi czeski wydaje się bardzo śmieszny, dlatego właśnie, że jest podobny. Otóż Słowakowi czeski wydaje się nieporównanie bardziej śmieszny niż Polakowi, bo jest jeszcze podobniejszy, brzmi dla słowackiego ucha jak karykatura jego rodzinnej mowy. Słyszałem studentów słowackich, którzy przez dobre pół godziny nabijali się nieludzko z czeszczyzny, pokładając się ze śmiechu, cytowali różne czeskie wyrażenia. I na odwrót słyszałem w pewnym miasteczku powiatowym urzędników czeskich rozmawiających o języku słowackim — mówili

mniej więcej tak jak Polacy lwowscy o ukraińskim.

Przed kilkudziesięciu laty jeden z pierwszych poetów słowackich, Kalincziak, jako student uniwersytetu uświadomił sobie, że nie jest Węgrem i zaczął pisać wiersze... po czesku. Powiedział wówczas zdanie, cytowane dziś bardzo często przez Czechów: „Wszystko co jest czeskie, jest słowackie, a co jest słowackie, jest czeskie“. Później wszakże zapoznał się z literaturą polską i wówczas doszedł do przekonania, że Słowacy są odrębnym narodem słowiańskim.

W czasach Kalincziaka asymilacja Słowaków do Czechów była łatwa, przed dwudziestu laty była możliwa, dziś jest wykluczona. Dziś nawet Czesi przestają już mówić o „narodzie czechosłowackim“, a zaczynają mówić o „narodzie czeskim i słowackim“. Zmiana niezwykle znamienna, a dokonała się ona w ostatnich dwóch latach. Dopóki Czesi byli daleko, u siebie, a na Słowaczyźnie rządili Węgrzy, wobec obcości językowej Węgrów, wydawali się Czesi Słowakom bliscy. Gdy wszakże usadowili się na Słowaczyźnie, okazało się, że są co najmniej równie obcy jak

Węgrzy. Odmienna historia, odmienny temperament, elementy antropologiczne, struktura społeczna, tradycja religijna i kulturalna — wszystko to wyszło na jaw.

— Jesteśmy bardziej Słowakami, niż Czesi są Czechami — powiedział ksiądz Hlinka — bo Czesi są przede wszystkim materialistami, a dopiero potem Czechami.

Istnienie na Słowacyzynie stosunkowo silnej partii czechosłowackiej, nie zmienia tu niemal nic. Rozmawiałem z t. zw. „argalaszami“ (tak lud słowacki przekręca nazwę czeskich agrariuszy—partii premiera Hodzy) i „argalasz“ przyznawali, że są Słowakami, a nie Czechosłowakami, ale...

O tym „ale“ wypadnie napisać osobno, jak w ogóle o całym bardzo ciekawym systemie rządów czeskich.

Jeżeli Słowacy mają dość Czechów, nie znaczy bynajmniej, aby mieli sympatie węgierskie. Zrobiłem wyżej porównanie między Litwą a Słowacyzną. Otóż Słowacy nie mniej boją się wpływów węgierskich, niż Litwini polskich. Podczas mojej bytności w Bratislavie, znany publi-

cysta autonomistyczny Murgasz z niezwykle oburzeniem odpierał w prasie zarzut, jakoby jego matka była z domu Veröczy — zarzut bowiem pochodzenia węgierskiego, lub np. wychowania się w Peszcie jest zarzutem na Słowacyzynie dyskwalifikującym polityka.

A teraz bądźmy szczerzy. Słowacy boją się trochę i Polaków. Polska imponuje im niesłychanie. Mają do nas ogromne sympatie, a to zwłaszcza działacze młodszy. Ale jednocześnie trochę się boją podobieństwa typu kulturalnego i podobieństwa języka — boją się czy by przy zbyt bliskich stosunkach nie zatoniły w naszej cywilizacji, podczas gdy wiedzą, że w czeskiej nie zatoną, bo jest zbyt mało atrakcyjna i zbyt obca.

Czego więc chcą Słowacy?

Wszyscy Słowacy, nawet „argalasz“, wszyscy od parobka do biskupa chcą jednego, — żeby na Słowacyzynie rządili Słowacy, żeby było „na Slovensku po slovensku“. To jest istotna prosta treść hasła autonomii. Sprawa państwa jest dla Słowaków jeszcze drugoplanowa, jeszcze odległa.

Najprostsze jej ujęcie słyszałem z ust kierownika stowarzyszeń młodzieży katolickiej:

— Każdy naród dąży do własnego państwa. Ale nasze państwo byłoby za słabe. Dlatego musimy być z kimś w związku. Dlatego uznajemy mimo wszystko Republikę.

A ze strony bardzo miarodajnej usłyszałem taki komentarz:

— Nam wszystko jedno z kim będziemy, byle byśmy mieli pewną gwarancję, że nam się nikt nie będzie wtrącał do spraw wewnętrznych.

II. RUSINY I WĘGRZY

„MY KARPATORUSY...“

Fodrasz

Parikmacher

Holicz

Friseur

Kadernik

Holjar

Odczytuję nie bez trudności ten sześćojęzyczny, dwualfabetowy i pięciopisowniany szyld nad małym wejściem, które zamiast drzwi ma zasłonę z paciorków. Skoro napis jest w sześciu językach, nie ulega wątpliwości, że należy przemówić inaczej.

Toteż wchodząc powiadam:

— Guten Tag.

Zgodny chór odpowiada:

— Grüss Gott, empfehle mich, hab' die Ehre. Was wünschen Sie, bitte?

Siadając na fotelu widzę przez okno po drugiej stronie ulicy większy szyld: „Patika. Gyogy-szentar. Apoteka. Apteka. Lekarna. Apotheke“ a obok tabliczkę narożną: „Dostojevského ulica. Ul. Dostojewskoho. Dosztoyewszky utca“.

Jesteśmy na Rusi Podkarpackiej.

Jadąc na Ruś Podkarpacką, wyobrażałem sobie, że zobaczę kraj zapomnianych przez cały świat gór, porośłych odwiecznym borem, gdzie chodzą niedźwiedzie i Huculi w czerwonych portkach, gdzie obozują cyganie i wznoszą się drewniane cerkiewki, słowem kraj biedny, dziki i piękny.

Przedwstępne obserwacje pasowały. Pociąg od Koszyc trochę brudniejszy, bez wagonu restauracyjnego, pusty. W przedziale, do którego wsiadłem, był tylko jeden człowiek. Siedział nieco senny, ze zmrużonymi oczami, z papierosem w kąciku ust, z ironicznym wyrazem twarzy. Kiedy się męczyłem z umieszczeniem wielkiej walizy na półce, ani drgnął. Na pewno nie Czech, Czech byłby pomógł. Gdy po czesku, ale w tonie dziwnie niedbałym poprosił mnie o gazetę, zapytałem wprost:

— Wy Russkij?

— A pan Paliak, ja znam.

Egzotyzm dalej wzrastał. Ciemne stacyjki, wreszcie Użhorod. Mała stacja w polu, na placu wybrukowanym kocimi łbami konne brudne dorożki, furmani mówią językiem nie do zidentyfikowania: ni to słowacki, ni ruski, jakieś słowa węgierskie i czeskie. Małe domki z szyldami w trzech alfabetach: łacińskim, cyrylicy i hebrajskim. W najlepszym hotelu użhorodzkim, który jednak ani umywa się do hoteliku w najmniejszym miście czeskim czy słowackim, a żywo przypomina nasze kresowe hotele, trafiam na awanturę. Jakaś wielka kłótnia w restauracji, ale nic nie rozumiem. Wszystko odbywa się wyłącznie po węgiersku. Ponieważ nie mogę wziąć udziału w ogólnej dyskusji, żądam gazet. Kelner przynosi mi moskiewskie „Izwiestia“.

Nazajutrz wszakże czar egzotyizmu znikł bezpowrotnie. Okazało się, że mój hotel stoi na Nalewkach. Na prawo synagoga, na lewo żelazny most. Największa cukiernia przypomina całkiem renomowany lokal Braci Studnia. Publiczność siedzi w kapeluszach zsuniętych na tył głowy i

gestykuluje po węgiersku i po niemiecku na przemian.

Przed cukiernią wszyscy spacerują powoli, kiwając głowami, chodząc tam i z powrotem, stając na środku jezdni, lub rozmawiając z tymi, którzy stoją w progach sklepów. Po słonecznej stronie ulicy kędzierzawe, tłuste dzieci śpią w aerodynamicznych wózkach. Sennie i handlowo.

Zaraz za Nalewkami zaczyna się Żolibórz. Szeroka ulica, ozdobiona kwietnikami, nowoczesne budynki publiczne, ładne wille z ogródkami, czeskie sklepy. Tu jest kolonia europejska, tu mieszkają urzędnicy przybyli z odległej metropolii. Tu także mieści się centrum duchowe kolonii czeskiej, loża masońska pod niezwykle charakterystyczną nazwą „Centrum Securitatis“ na Wschodzie Użhorodu („Ośrodek Bezpieczeństwa“). Do loży tubylców się nie przyjmuje. Tubylcy mogą należeć co najwyżej do Rotary Clubu, który mieści się w hotelu „Korona“, a na stanowisko sekretarza dopuścił Wasyla Hrobara. Tubylcy się w ogóle nie liczą. Starostą w Mukaczewie jest wprawdzie Ukrainiec, ale jest to Ukrainiec polski. Radcami przy gubernatorze w

Użhorodzie jest trzech Ukraińców, ale nie tutejszych, wszystko emigranci z Polski. Emigrant z Polski jest także dyrektorem gimnazjum ukraińskiego. Policjantami i listonoszami są Czesi.

Władze państwowe mieszczą się w Użhorodzie. Za to w Mukaczewie jest siedziba innej władzy, mającej wielkie znaczenie nie tylko kulturalne ale i gospodarcze.

Od ulicy jest rozwalona brama. Przez tę bramę wchodzi się na wielki zaśmiecony dziedzińiec, na którym pod najfantastyczniejszymi kątami stoją różne budynki. Najwspanialszy jest dwór cadyka z szerokim węgierskim gankiem i rozłożystymi schodami. Pozatem jest jesybot, bóżnica, dwa domy modlitwy, jeszcze jakaś szkoła, budynki gospodarskie. Nie wiem, czy to jest wrodzony brak poczucia harmonii, czy świadomie kultywowana tradycja tymczasowości, ale chasydzi wszędzie stawiają swoje budynki, nawet duże marmurowane budowle tak, jakby stawiali szałas czy namioty na przypadkowym obozowisku. Nawet dwory najbogatszych cadyków wyglądają z zewnątrz jak stajnie, i dopiero ob-

szedłszy cały teren można się zorientować, że to jest wielki blok sporych budynków.

Biedniejsi mieszkańcy mukaczewskiego dworu i okolicznych domów mówią, co mnie zdziwiło, żargonem. Może trochę innym, ale także na niemieckim opartym, iddyszem. Tylko sekretarze cadyka rozmawiają piękną literacką niemiecką.

Wielki cadyk, cudotwórca i nadrabin mukaczewski, Szpiro, który nawet o reb Alterze z Góry Kalwarii wyrażał się lekceważąco, umarł przed dwoma laty. Na pogrzeb zjechali delegaciz całego świata. Następcą został zaledwie dwudziestoparoletni zięć, Żyd z Polski, Rabinowicz. Nie ma on łatwego zadania. Wprawdzie Żydzi nie panują już tak w stu procentach nad życiem gospodarczym Rusi, jak za czasów węgierskich, ale w każdym razie gros życia gospodarczego, a zwłaszcza handlu detalicznego jest w ich ręku. Żydzi stanowią na Rusi Podkarpackiej 14 procent ogółu ludności — jest to chyba najwyższy procent ze wszystkich krajów. Połowa blisko z tego mieszka na wsi. Te wszystkie sprawy musi rozsądzać młody nadrabin. Cudów jeszcze na ra-

zie nie ma, ale podobno teściowa Rabinowicza zapewnia, że będą niedługo.

Po polsku ten nasz były obywatel mówi nie bardzo. Zrzekając się obywatelstwa polskiego, aby zostać nadrabinem mukaczewskim, wystosował list do władz polskich, zaczynający się od słów: „Cenny Pan Konsul zaszczył mnie odpowiedzią...“.

A lasy, góry i Huculi? Lasy są. Zajmują blisko połowę powierzchni Rusi Podkarpackiej. Połowa tych lasów należy do rządu praskiego lub samorządu, czwarta część do wielkiej spółki belgijsko - angielsko - czeskiej. Z tym wszystkim Wierchowina, góralszczyzna stanowi mniejszą część kraju. Większa część to węgierska równina, lub wzgórze podkarpackie: wielkie plantacje buraków cukrowych, pszenica, winnice (słynne Beregsza, czyli Berechowo i Seredne leżą na Rusi). Ta część kraju jest brzydka i bogata. Nędza w porównaniu z Pragą duża, w porównaniu z Kołomyją mała.

Na to, żeby się dokładnie zorientować w stosunkach etnograficznych Rusi Podkarpackiej,

trzebaby siedzieć tam kilka lat. Każda dolina, każda wieś niemal, ma tam zupełnie inny charakter, język, strój. Dlatego tak trudno znaleźć dla tego wszystkiego jakiś wspólny mianownik. Ludności jest 725.000. Z tego 116 tysięcy rzymskich katolików — Węgrów, mieszkających zwartą masą na południu. Blisko 60.000 prawosławnych z czasów przedwojennych i ci chcą się uważać za Rosjan. Odliczywszy Żydów (103.000), Czechów (20.000), Niemców (14.000) i Rumunów (bo są tu wsi rumuńskie i wsi niemieckie) pozostanie niespełna 400.000 greko-katolików, mówiących najrozmaitszymi dialektami: łemkowskim, bojkowskim, huculskim, a najwięcej może specjalnym, odmiennym od wszelkich dialektów ukraińskich, a bardziej zbliżonym do wielkoruskiego (tam, gdzie w ukraińskich jest i, jak np. pół = pił, tam w dialekcie karpatoruskim jest — poł).

Wybory parlamentarne ani gminne żadnego pojęcia o układzie narodowościowym nie dają. W wyborach do parlamentu Rusini wychodzą z list czeskich agrariuszy, a komuniści, którzy mieli w wyborach sejmowych dużo głosów, teraz

głosowali wszyscy na narodowych socjalistów, czyli partię prezydenta Benesza.

W wyborach gminnych w jednej wsi bywa po dwadzieścia parę list. Znaczna część z nich nazywa się z rozbijającą prostotą: listą Michajła Stepańczuka, lub: listą Dmytra Skopowa.

Jakie więc realne siły istnieją w tym kraju poza administracją i Żydami? Jedynym ruchem samodzielnym są tu Ukraińcy. Ale Ukraińcy nie mają żadnej organizacji politycznej. Nie chcą jej stworzyć, bo nie chcą popsuć sobie stosunków z Pragą. Ruch ukraiński robią emigranci z Polski, popierani przez Czechów. Gdyby stworzyli własną organizację, weszliby w stan konkurencji z partiami czeskimi i dobre stosunki mogłyby się popsuć, emigranci mogliby być usunięci i cała praca rozsypałaby się. Dlatego niesposób jest ocenić zasięg wpływów ukraińskich. Niesposób go ocenić także od strony kulturalnej. Jak o tym wiadomo, w Czechosłowacji każda narodowość ma swój samorząd kulturalny i swoje szkoły mniejszościowe, zwłaszcza zaś Ruś Podkarpacka ma autonomię zagwarantowaną traktatem pokojowym w Trianon. Jest tylko jedno maleńkie:

„ale“ Mianowicie na Rusi Podkarpackiej nie ma żadnych innych podręczników szkolnych prócz czeskich. Zatem mówiąc tak całkiem ordynarnie, brutalnie i bez względu na należną kurtuazję międzynarodową, szkoła na Rusi Podkarpackiej jest czeska, przynajmniej szkoła powszechna. Wprawdzie nauczyciel usiłuje dzieciom tłumaczyć czeski podręcznik na jakiś bliższy język, ale zważywszy, że ten nauczyciel nie zna dobrze ani rosyjskiego, ani ukraińskiego, ani dialektu danej wsi, rezultaty muszą być dość pocieszne. Szkół wyższych na Rusi nie ma. Szkoły średnie są albo czeskie, albo węgierskie, albo zależne od nauczyciela. Gdzie dyrektor i paru nauczycieli Ukraińców, tam gimnazjum uchodzi za ukraińskie, choć inni nauczyciele uczą z czeskich podręczników po rosyjsku lub karpatorusku.

Młody człowiek, który ukończył taką szkołę, mówi najchętniej... po węgiersku. O ile na Słowaczynie w młodym pokoleniu znajomość węgierskiego zupełnie zanika, o tyle na Rusi tylko młodzi chłopcy na Wierchowinie nie znają węgierskiego. Kto przyjedzie do miasta, nauczy się po węgiersku, bo ten język na Rusi ma dotąd

walor jedyne go języka godnego ludzi kulturalnych.

Rozmawiam, oczywiście nad dzbankiem czerwonego wina, z jednym z najwybitniejszych działaczy karpatoruskich. On twierdzi, że mówi ze mną po łemkowsku, a mnie się zdaje, że to jest z polska po słowacku. Do kelnera, do sąsiadów, odzywa się ten człowiek tylko po węgiersku.

— My Karpatorusy — tłumaczy mi — jesteśmy odrębnym narodem. Nie jesteśmy ani Rosjanami ani Haliczanami. Odrębny język, a przede wszystkim odrębna historia w tysiącletnim związku z Węgrami stworzyła z nas odrębny naród.

— A macie swój język literacki?

— Chcielibyśmy go stworzyć z dialektu miejscowego.

W tej chwili mały żydowski kolporter gazet wchodzi (tu nikt nie biega, wszyscy są senni, niepunktualni i mają czas) i mówi (tu nikt nie krzyczy, bo po co) coś po węgiersku. Wszyscy kupują gazety. Mój rozmówca kupuje „Ujsag“.

— To budapeszteńska gazeta — dziwię się.

— A tak. Widzi pan. Praskie gazety przy-

chodzą na drugi dzień dopiero, bo do Pragi jest 900 kilometrów, budapeszteńskie są dzisiejsze, bo do Budapesztu jest tylko 300 kilometrów, a że w tutejszych podkarpackich nic zupełnie nie ma, wszyscy czytujemy peszteńskie.

GRAFIKI I CYGANIE

Miarę uprzywilejowania lub niechęci, jakimi darzono w czasie kongresu wersalskiego poszczególne narody można poznać bardzo łatwo — po liniach kolejowych.

Gdzie w pobliżu granicy etnograficznej szła ważniejsza linia kolejowa, tam dostawał ją sympatyczniejszy dla mocarstw. Polacy byli widocznie mniej sympatyczni nawet od Niemców, bo linia Piła — Chojnice została po tamtej stronie, węzeł Bytomski z linią na Kluczbork do Poznania i na Raciborz do Bogumina także. Rumuni byli bardziej sympatyczni od Węgrów, ale najbardziej sympatyczni byli Czesi: dostali czyste polskie terytorium, przez które idzie linia z Bogumina przez Cieszyn na przełęcz Jabłonowską, dostali linię z Bratislavy do Komarna przez terytorium węgierskie, takąż linię z Luczeńca do

Rozniawy i z Koszyc przez Csop, Batyu i Hust. Linia przez polską ziemię łączy Czechy ze Słowaczną. Linia przez węgierską ziemię łączy Ruś Podkarpacką z resztą państwa.

Widziałem w Czechosłowacji okolice czysto niemieckie i widziałem czysto węgierskie. Jest między nimi ogromna różnica.

W okolicach czysto niemieckich nie usłyszy się innego słowa jak niemieckie i nie zobaczy się innego napisu jak niemiecki, chyba na lokalu urzędowym. W okolicach czysto węgierskich można rozmówić się po słowacku, a napisy są dwujęzyczne, przy czym węgierski jest z zasady na drugim miejscu. Niewątpliwie Niemcy cieszyli się zawsze w państwie czesko-słowackim znaczną swobodą, a Węgrzy przez szereg lat byli niesłuchanie ostro tępieni.

Przypominam sobie, jak przed dziesięciu laty na Słowacznynie, pełen jeszcze wiary w przyjaźń polsko-czeską i czeską wolność, poznałem pewną rodzinę węgierską. Szedłem z młodą Węgierką i jej ojcem szosą. Oni oboje w pewnej chwili, zapomniawszy o mojej obecności, zaczęli mówić po węgiersku. Zza zakrętu szosy ukazał

się jakiś człowiek. Córka trąciła ojca, tamten spojrział przed siebie na szosę, szybko coś powiedział po węgiersku i odrazu przeszli na słowacki. Tłumaczyli mi potem, że mówienie po węgiersku mogłoby ojcu niesłuchanie zaszkodzić i gdyby kto doniósł, może stracić pracę. Człowiek ten był nauczycielem prywatnej pensji żeńskiej w pewnym małym, czysto węgierskim mieście na Słowacznynie, nad granicą węgierską. Spotkałem się później z szeregiem faktów potwierdzających tę pierwszą niespodziewaną naukę czeskiej wolności.

To wszystko wszakże dowodzi nie tylko ucisku (będącego zresztą tylko odpłatą za analogiczny zupełnie ucisk węgierski przed wojną na Słowacznynie), ale i tego, że Węgrzy się temu uciskowi poddawali. Nie wyobrażam sobie Niemców czeskich podobnie sterroryzowanych.

Bo niemieckość, to przede wszystkim organizacja, a węgierskość to przede wszystkim styl życia. Byłe tego stylu nie ruszali...

Węgierskość. Małe miasto węgierskie w Czechosłowacji, powiedzmy Luczeniec. Napisy urzędowe w dwóch językach — węgierskim i słowa-

ckim. To mnie, tutejszego Węgra nie razi nawet, od dziecka przywykłem, że do prostych ludzi mówi się często po słowacku. Niech sobie będą te napisy w lokalnej gwarze obok węgierskich — pomieści się to wszystko w naszej wielkiej ojczyźnie. Świątyn w miasteczku jest cztery — jak to zawsze u nas na Węgrzech i wszystkie białe i wysokie. Ta z prostym krzyżem na szczycie wieży, to kościół katolicki, ta z kogutem nad krzyżem, to zbór luterański, ta z wieloramienną okrągłą gwiazdą, to zbór kalwiński, a ta z gwiazdą Salomona, to synagoga. Duchowni wszystkich wyznań mówią po węgiersku. Cóż robić w małym miasteczku — chodźmy Pod Wiechę. Zjemy gulasz z papryką, chleba z czosnkiem i bryndzą, napijemy się dobrego tutejszego wina. Każdy tu do nas mówi po węgiersku, choćby i nie był Węgre, bo dumny, że może mówić językiem ludzi wykształconych. Każdy na pierwszy rzut oka od razu odgadnie jak nas tytułować: czy po prostu i familiarnie „szanowny panie“, czy „wielmożny panie“, czy też „jaśnie wielmożny panie“. W winiarni grają cyganie tęskne i skoczne zarazem czardasze, lub melancholijne pie-

śni cygańskie, albo melodie z Puszczy. Kiedy nas wino rozmarzy, podejdzie cicho małpimi ruchami brązowy primasz cygański o granatowych włosach i żółtych oczach, stanie ci z tyłu za uchem i delikatnie a z temperamentem na twoją cześć grać będzie rzewne pieśni. Miłe jest to życie węgierskie. Podobne nawet i u pana i u chopa i u urzędnika i u szewca. Wino, bryndza, cyganie, czardasz z czarnobrewą dziewczyną o kasztanowych włosach. Miłe życie, ale bardzo rozkładające. Rozkłada i wegetatywność tego życia i zapatrzenie w przeszłość. Nie widzimy jak czas odbiera nam prymat w tej części Europy, bo widzimy tylko wspaniałe pomniki koło których czas przepływa bez śladu.

Dumne katedry gotyckie w Pozsony i Kassa stoją bez zmian. Arva Varalya góruje dotąd nad Orawą, Szepesi Var nad Spiszem, Zborów nad Szaryszem, Likava nad Liptowem, Devin nad Dunajem, Var Polanka nad Rusią Podkarpacką, no i jest Krasnohorka Andrassych. W środku doliny na stromej skale stoi ta Krasnohorka, jak większość zamków węgierskich na Słowacyznie. Zamek jest duży i piękny. Ale je-

go znaczenie polega na tym, że zawiera w sobie wielką relikwię narodową. Relikwia ta, to przedmiot długi i żółty, dziwnego kształtu. Naturalna mumia hrabiny Andrassy — z podniesioną ręką. Mumia wyciąga zeszywniałą rękę gestem zgrozy i przestrogi. Legenda mówi, że to ostatni przedśmiertny gest w kierunku męża — zdrajcy, tego Andrassy'ego, który zdradził sprawę narodową węgierską i przeszedł na stronę Habsburgów. On to także miał rzekomo być kochankiem Białej Pani Lewockiej, która znowu zdradziła swoje miasto dla niego i wpuściła do głównego miasta Spisza wojska węgierskie. Żona przeklęła męża jednak nie za zdradę małżeńską, ale za zdradę narodową. I do dziś leży w Krasnohorce jej żółta mumia z ramieniem wzniesionym gestem anatemy.

Węgrów w Czechosłowacji żyje 720.000, z tego 116.000 na Rusi Podkarpackiej i prawie 600.000 na Słowacyźnie, głównie w zwartej masie na jej południowym pograniczu.

Największy zwarty obszar czysto węgierski w Czechosłowacji, to Żytńi Ostrov, czyli Wielki Schütt. Jest to jednocześnie obszar najmniej na-

piętej irredenty węgierskiej. Żytńi Ostrov zamieszkuje bowiem bogaci chłopci, którzy robią dobre interesy na przynależności do Republiki, do ubogiej w dobre ziemie Słowacyzny.

Akcji węgierskiej na Słowacyźnie i na Rusi Podkarpackiej przywodzą t. zw. grafikowie, czyli arystokraci węgierscy. Nie wydaje mi się to najlepsze.

Wraz z częścią Zamagórza Spiskiego i Polska dostała taką jedną rodzinę hrabiowską — Salamonów z Niedzicy. Hrabina Salamon była tak dumna, że nie chciała płacić Polsce podatków. Do zwiedzania zamku niedzickiego dopuszczała tylko osoby z tytułami arystokratycznymi. Podobno nieco otrzeźwiała, gdy jej Rumuni zabrali wszystkie dobra w Siedmiogrodzie, zostawiając tylko rodowy zamek Bethlenów (Salamanowa jest bliską kuzynką byłego premiera węgierskiego Bethlena, który jak większość rządzącej arystokracji węgierskiej wywodzi się z Siedmiogrodu), który kazał jej na własny koszt utrzymywać.

Może w tym monopolu politycznym arystokracji wśród mniejszości węgierskiej w Czecho-

słowacji leży przyczyna, że chłopci węgierscy biorą udział, jak o tym pisałem wyżej, w zjazdach chłopskich słowackich. Na Rusi Węgry działają przy pomocy pieniędzy i elementu płatnego, nie bardzo ideowego. Nie byłem w państwie węgierskim, ale obserwując mniejszość węgierską w Czechosłowacji i pilnie czytając wszelkie wiadomości z Węgier, doszedłem do przekonania, może niesłusznego, że Węgrzy nie są narodem w stanie ekspansji. Zacofanie socjalne jest tam ogromne, bez porównania większe niż u nas.

Feudalizm w dalszym ciągu kwitnie. Nastrój odwetu nie jest nastrojem zdobywczym. Węgrzy są w nastroju odwetu, nie ekspansji, tak jak Niemcy w okresie przedstresemanowskim.

Z zacofania społeczno-politycznego Węgrów płyną błędy ich polityki zagranicznej. Nie doceniają oni niebezpieczeństwa potężnej mniejszości niemieckiej w swoim państwie, bo uważają Niemców węgierskich za coś w rodzaju stanu, tak jak Wielopolski uważał Żydów polskich. Natomiast nie mogą się pogodzić z myślą, że ludy, nad którymi przez wieki panowali, stały się

narodami, że powrót Chorwacji, Słowaczyny czy Siedmiogrodu do dawnej zupełnej jedności państwowej z Węgrami jest niemożliwy.

Węgry związały się z Niemcami po wspólnej klęsce w wojnie prowadzonej przez Niemców i tylko w niemieckich celach, po wojnie, która Węgom do niczego nie była potrzebna, a której główne koszta ponieśli. Niemcy stracili w wyniku wielkiej wojny tylko swoje względnie świeże pruskie nabytki (Alzacja i Lotaryngia — niespełna 50 lat władania, południowy Szlezwik — 50 lat, Poznańskie — 100 lat, Pomorze niespełna 150, Górny Śląsk 200), Węgrzy stracili dwie trzecie swoich dawnych ziem z milionami rdzennych Węgrów, w tym także odwiecznie państwowo węgierski Burgenland — na rzecz Niemiec. Nie winili jednak sprawców swego nieszczęścia, przeciwnie związali się z nimi po klęsce i oba narody żyły przez lat kilkanaście wspólnym duchem odwetu, który nie dał im nic. Niemcy wszakże wykazali swą wyższość polityczną, zdobyli się na nową linię, nie ślepego odwetu, ale nowej rozszerzonej ekspansji. Hitler potrafił przekuć pasję odwetową na motor

eskpansji idącej nowymi drogami. Węgrzy z tej nauki nie skorzystali i mimo, że znikła identyczność celu — odwet, wlekli się dalej w ogonie Niemiec. A przecież ich położenie geopolityczne jest lepsze niż Niemców. Niemcy wciśnięci są ze swoim przeludnionym i przeinwestowanym krajem między trzy duże narody, z których żaden nie ma im ochoty nic ze swego ustąpić — między Francję, Włochy i Polskę. Dopóki nie atakują całości żadnego z nich, mogą je nawet wygrywać przeciw sobie, lub wiązać z Rzeszą sojuszami. Ale niewątpliwie atak zbrojny na którykolwiek z tych trzech narodów, wywołałby reakcję dwóch pozostałych, bo nawet dla Włoch zbytne wzmocnienie Niemiec na zachodzie czy wschodzie jest niebezpieczne. Tymczasem Węgrzy są przeznaczeni do dominowania w basenie naddunajskim — siedzą w jego środku, są najbliżsi i mają swoje mniejszości w okolicznych, młodszych i słabszych państwach.

Tylko, aby tę rolę odegrać, trzeba zrezygnować z ambicji anektowania innych narodów Basenu, a zdobyć się na ambicję kierowania tymi narodami. I trzeba zdać sobie sprawę, że w

tej nowej roli, pierwszej na prawdę samodzielnej roli Węgier od czasu klęski pod Mohaczem i zgonu ostatniego węgierskiego Jagiellona, zasadniczym konkurentem do panowania nad Dunajem będą Niemcy. Przeciw nim musiałyby Węgry zwrócić główny front, znaleźć oparcie na flankach — to jest w Polsce i we Włoszech. Czy Węgrzy, rządzeni dotąd przez arystokratyczną tajną organizację „Podwójnego krzyża“, to zrozumia, czy są zdolni do tak zdecydowanego „przestawienia się“ psychicznego, do ryzyka i wielkich planów?

To zależy w pewnej mierze także od polityki polskiej.

* *
*

Na Rusi Podkarpackiej nic dotąd nie wyparło kultury węgierskiej.

Posiadanie Rusi Podkarpackiej przesądza o całej polityce czeskiej. Pierwotny zamysł przyłączenia Rusi powstał wśród Czechów jeszcze w nadziei, że będzie to pomost do Rosji. Rosja się rozleciała, ale zaświtała nadzieja, że za Rusią

Podkarpacką powstanie Wielka Ukraina. Nadzieja się nie ziściła, ale powstała nowa: za Karpatami pojawiły się wojska bolszewickie. Polacy pobili nie tylko Ukraińców, ale z kolei i Bolszewików. Ruś pozostała już tylko pomostem do Rumunii, czyli t. zw. Zawiasami Małej Ententy. Tym niemniej tamta większa jej rola nie została zapomniana na chwilę: tam są lotniska, na które lądują sowieckie samoloty, tam ma dochodzić wielka „severna magistrala“ z Pragi do Jasiny. Dopóki Czesi mają Ruś Podkarpacką, dopóty obrony przeciw Niemcom szukać będą w Rosji.

Ruś Podkarpacka ma rzeczywiście charakter zawiasów. Zawiasy te mogą się obracać na niewidzialnej osi. Albo mogą, jak obecnie, łączyć wschód z zachodem, albo też północ z południem. Tylko ten drugi układ jest zgodny z geograficznym, gospodarczym i militarnym ukształtowaniem kraju i z charakterem jego kultury.

Ruś Podkarpacka ma trzy linie kolejowe. Jedna częściowo idąca przez terytorium państwowe rumuńskie, a prawie przez cały czas przez terytorium etnograficznie węgierskie łączy

Koszyce z Jasiną. Dwie poprzeczne łączą Budapeszt ze Lwowem i z Przemyślem. Ludność miejscowa jeżeli w ogóle umie czegokolwiek chcieć, to tylko tego drugiego układu.

Trzeba sobie uświadomić, że istotne źródło złych stosunków polsko-czeskich jest nie w Cieszynie ale na Rusi Podkarpackiej.

III. C Z E S I

„GDZIE DOMOSTWO MOJE“

Nie, to nie są Szwejki, ani Pepiczki, ani „muzykanty i złodzieje“. Oni są bardzo obcy, ale wcale nie są śmieszni, ani godni pogardy. Czech na Słowacyzynie czy Rusi Podkarpackiej robi wrażenie antypatyczne, może dlatego właśnie, że nie czuje się u siebie. Czech u siebie, w masie jest zupełnie inny. Bo też najistotniejszą cechą ducha narodowego czeskiego jest domowość, rodzinność. Z tej domowości, rodzinności wyrosło odrodzenie Czechów jako narodu w zeszłym wieku.

Świadomość narodowa polska operuje nowszymi ideami — jest „transcendentalna“. Nasz hymn państwowy zaczyna się od słów „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“. Świadomość narodowa czeska jest „immanentna“ i stąd może płynie czeska niezdolność do asymilowania

innych ludów. Hymn narodowy czeski zaczyna się od słów: „Gdzie domostwo moje“...

Polska — to jest tyle różnych krajobrazów, tyle kolorytów lokalnych, plemion, typów życia, że kiedy się myśli: Polska, to skojarzenia idą raczej w kierunku sztandaru, munduru, postaci historycznych. Czechy, to kraj zwarty o jednolitym typie życia, krajobrazie, a o słabej, naderwanej tradycji. Toteż, kiedy Czech myśli: Czechy, to ma na myśli nie sztandar, mundur, wielkich ludzi, ale kraj, krajobraz, typ człowieka.

W ich świadomości narodowej jest bardzo mało czynnika państwowego, a w naszej bardzo wiele.

Etnicznie Czesi przypominają swoich bezpośrednich północno-zachodnich sąsiadów — Ślązaków. Wewnętrzna twardość i upór łączą się u nich ze szczególną surową dobroduszością i z wielkim poczuciem humoru. Trzeźwość i materializm kojarzy się ze zdolnością do wielkich nawet ofiar na cele idealne. Bezpośrednia łączność rodzinna inteligencji z ludem i brak kulturalnego podziału na warstwy społeczne nie przeszkadza robić wielkiej, większej niż u nas, róż-

nicy między bogatym a biednym. Typ polityka czeskiego jest podobny do typu polityka śląskiego. Czechami kierują Korfanci i Grzesikowie z wszelkimi zaletami i wszelkimi wadami tego typu polityków. I nikt nie ma tam wielkiej pretensji, że kieszeń polityka się napelnia, jeżeli na jego rządach zyskuje kraj. O tym, że prezydent Benesz jest jednym z bogatszych ludzi w Czechosłowacji mówi się zupełnie otwarcie, a senator Stodola wcale się nie wypiera, że jest prezesem 57-miu rad nadzorczych.

Wprawdzie odzywają się czasem drastyczne protesty, ale i one nie są pozbawione tej surowej dobroduszości czeskiej. Najostrzejszym może ich wyrazem jest wiersz satyryczny, jednego z młodych poetów (o ile sobie przypominam, Dyka), zaczynający się od słów:

„Hrad. Na Hradie, pode Hradom
Vszetki kradou...“

Zważywszy, że Hrad, to jest Zamek...

Wreszcie system policyjny jest w Czechach rozwinięty również jak na naszym Śląsku, a premier Hodža jest tak dobrze poinformowany o tym, co robi każdy z obywateli państwa, jak wo-

jewoda Grażyński o tym, co robi każdy z mieszkańców województwa.

Kulturalnie natomiast Czesi są podobni do swoich bezpośrednich południowo - zachodnich sąsiadów — Bawarów.

Reklamowana chłopskość przy burżuazyjnym typie życia, kult pieśni i piwa, stosunek dobrotliwej pogardy do kobiety, na oko łagodna wesołość, a w razie wojny najdziksze i najuciążliwsze w obcym kraju wojsko.

Czesi mają wszakże swoją linię dziejową polityczno - kulturalną, która wyróżnia ich od wszystkich sąsiadów.

Czechy leżą w samym środku Europy, otoczone ze wszystkich stron górami, poza którymi siedziały obce i bardzo różne ludy: Bawarzy, Sasi, Ślązacy, Słowacy, Węgrzy, Austriacy. To położenie Czech sprawiło, że Czesi byli jednocześnie zwarcami i odrębni narodowo, a przy tym bardzo międzynarodowi. Bez wstępu wchodził w obręb świętego cesarstwa, nie widząc w tym grozy zagłady narodowej. Ruch husycki głosił ogólnoludzkie, uniwersalistyczne hasła, a jedno-

ześnie był nie tylko nacjonalistyczny, ale wręcz szowinistyczny czy hakalistyczny — tępił Niemców czeskich bez miłosierdzia i przymusowo czeszczył całe okolice.

Husytyzm wywarł na świadomość narodową czeską wpływ ogromny. Od jego czasu poprzez okres upadku narodowego aż do nowych dni przetrwał w świadomość czeskiej dziwny konglomerat hakatyizmu z międzynarodowością, pacyfizmem i wolnomyślicielstwem. Ten konglomerat sprawia, że powstają dziwne paradoksy: wolnomyślni, nawet ateistyczni Czesi, nienawidzący wszelkiej tradycji katolickiej, ci sami urzędnicy czescy, którzy należą masowo do łóż Wielkiego Wschodu, wznoszą po całym państwie pomniki świętemu Waławowi z napisami w rodzaju: „Święty Waławie, módl się za nasz naród“, dlatego, że święty Waław był założycielem królestwa.

Linia tradycji czeskiej od Husa idzie poprzez patrona europejskiej masonerii, mistrza tajnego „Zakonu Palmowego“, który maczał ręce w najjeździe szwedzkim i moskiewskim na Polskę, Jana Augusta Komenskyego, prosto do „Wielkiego

Wyzwolonego Rycerza Kadosz“ — Tomasza Garrigue Masaryka.

I oto teraz za najwierniejszego, zdawałoby się, ucznia i przyjaciela masarykowego, Edwar-
da Benesza, zaczyna się coś w tej linii załamy-
wać. Zamiast konsekwentnego, bojowego wolno-
myślicielstwa i antykatolicyzmu — flirt z kościo-
łem katolickim, któremu podobno Benesz, w za-
mian za poparcie przy wyborze na prezydenta,
lekką ręką ofiarował — nawrócenie Rosji So-
wieckiej. Zamiast międzynarodowości — stałe
podkreślanie wszystkiego, co odrębne, własne,
czeskie. A przede wszystkim: zamiast pacyfizmu
gwałtowny, naiwny nawet, militaryzm.

Tak się złożyło, że pewnego wieczoru w Pra-
dze miałem wolne dwie godziny. Przechodząc
dzielnicą już raczej podmiejską znalazłem się
obok wejścia do małego kina. Ponieważ afisze
ogłaszały sowiecki film patriotyczny „Przysięga-
my“, który cieszył się w Czechach wielkim po-
wodzeniem, wszedłem. Salka mała, na wpół wy-
pełniona przeważnie młodymi ludźmi, w środku
seansu przerwa, jak u nas przed laty, a w przer-
wie sprzedają „bonbony i czekolady“. Nadpro-

gram głównie z zagranicznych rewii wojskowych.
Film — okazuje się nieporozumienie — sowiecki
patriotyczny idzie w następnym programie, te-
raz film czeski: „Jizdni Hlidka („Patrol kon-
ny“). Bohaterstwo czeskich legionistów na Sy-
berii.

Cóż: to jedyna tradycja wojenna czeska od
połowy siedemnastego wieku. Film tandetny
i naiwny, ale z miłą, mimo wszystko, zdrową
tendencją, z kultem bohaterskiego wytrwania,
zaprawiony czeskim dobrodusznym humorem.
Sala przyjmuje obraz dość żywo. Ale reżyser
kłopot miał: jedyna tradycja wojenna od
XVII-go wieku, to właśnie tradycja walki... z
czerwoną armią. Więc drogą nieprawdopodob-
nych dialogów tłumaczy się widzowi, że ta wal-
ka nie wynikała z żadnej wrogości, że i jedni
i drudzy mieli rację, tylko Czesi „chronili swoje
żywoty“ i „my do domu musimy“. Jeszcze dziw-
niejsze, że nie tylko legionarze między sobą, ale
nawet syberyjscy chłopcy o legionarzach mówią:
„Czechsłowacy“. Bo ta jedyna tradycja wojenna
jest tradycją tylko czeską, tradycją mniejszości
obywateli Republiki, więc trzeba to jakoś zatu-

szować. Film kończy się defiladą armii czechosłowackiej, która bardzo nierówno nosi broń.

W teatrzyku Akropolis grają od dłuższego czasu wodewil „My się nie damy“.

W każdym kiosku można dostać tanie i piękne wydawnictwo „Moskwa jest z nami“. Propagandy komunizmu bardzo tam niewiele. Za to ogromna propaganda „Rudej Armady“ i siły militarnej Sowietów. I wielkimi literami oświadczenie Kalinina, że przyjdą ratować Czechosłowację w razie napaści.

W piśmie kobiecym na pierwszej stronie mały chłopczyk ubrany na żołnierza (dawniej nikt tak dzieci nie ubierał w Czechach) i odpowiedni patriotyczny podpis. Na drugiej i trzeciej służba kobiet w szeregach Czerwonego Krzyża i Obrony Przeciwgazowej.

We wszystkich pismach zdjęcia z życia armii we wszelkich możliwych okolicznościach i fotografii żołnierzy bohatersko czuwających z bronią u nogi, przeważnie na szczytach gór.

Wojsko, wojsko, wojsko. W każdym najmniejszym miasteczku stacjonuje jakiś oddział.

W każdym mieście powiatowym duże koszary. Na każdej wybitniejszej wyniosłości, po ruinach starych zamków i na zalesionych wzgórzach — baterie. W okolicach niemieckich wzdłuż toru kolejowego co paręset metrów szalasz z gałęzi, w nim żołnierze. Przy każdym mostku żołnierz z bagnietem na broni. Po niemieckich miastach kompletna okupacja. Na pograniczu niemieckim żołnierze mówią po czesku, na środkowej Słowacji po niemiecku, w okolicach węgierskich po słowacku. Nawet Cyganie w mundurach i z bronią w brudnych łapach.

Ekwipunek świetny. A duch? To, że chodzą zawsze rozpięci przynajmniej na jeden guzik, że pas noszą jak kobiety na sukni, że nie salutują oficerom, że gadają ze znajomymi przechodniakami, stojąc na warcie, że palą papierosy, idąc w szyku przez miasto — to może być ostatecznie bez większego znaczenia: kwestia stylu, tym bardziej w nastroju wojennym. Ale, że żołnierze Czesi nie rozmawiają z żołnierzami Niemcami z tej samej formacji, to już ma pewne znaczenie. Bo nie należy zapominać, że nawet najprecezyjniejsze narzędzie śmierci wprawia w ruch jakiś

człowiek, a człowiek jest zawsze jakiejś narodo-
wości. Więc nadzieja w „Rudej Armadzie“.

Gdyby armia czechosłowacka składała się
z samych Czechów, wcale by nie była nieszko-
dliwa. Oddziały czeskie czują się pewnie, śpie-
wają buńczuczne aktualne piosenki, w których
grożą śmiercią głowie jednego z mocarstw oś-
ciennych (nie napiszę jakiego, bo nie mogę brać
na swoją odpowiedzialność rozpętania wojny
światowej) i w ogóle robią takie wrażenie, jak-
by mieli ochotę naprawdę wojować, tylko nie
wiedzieli jeszcze całkiem dokładnie, jak się to
robi.

Bo tłumione przez wieki instynkty militarne,
odezwały się w Czechach. Te instynkty wyłado-
wywały się dotąd ubocznie w sporcie, czyli „te-
lotwiku“. Przed paru jeszcze laty, Czesi wsty-
dzili się trochę, że muszą mieć tak niehumanitar-
ną instytucję, jak wojsko, byli natomiast bardzo
dumni z „Sokoła“, Toteż dziś, gdy chcieli obu-
dzić instynkty wojenne zorganizowali kolosalny,
kilkunastutysięczny zjazd Sokoła i wszelkich
sportowych związków do Pragi. Całe miasto jest
udekorowane wielkimi napisami ku czci „Sletu“.

(W Czechach nawet Niemcy na wzór Czechów
założyli Sokoła i tego to Sokoła naczelnikiem był
przez lata profesor Henlein, były kapitan c. i k.
armii).

W każdej prawie wsi czeskiej jest boisko pił-
ki nożnej. W każdy dzień świąteczny odbywają
się tysiące wiejskich meczów.

Nawet Tydzień wyborów minął w Czechach
pod znakiem wielkiej sensacji. Ludzie na ulicach,
w tramwajach, kolejach — mówili tylko o jed-
nym. Ale wcale tematem tych rozmów nie by-
ły odbywające się właśnie wybory komunanle w
blisko 4000 gmin miejskich i wiejskich w całej
Republice. Nie o tym mówili politycy, a tym pi-
sała zagranica. A tymczasem, podczas, gdy cała
Europa polityczna z napięciem oczekiwała wia-
domości o wynikach wyborów w Czechosłowac-
cji, całe Czechy z równym napięciem oczekiwały
wiadomości o wynikach—światowych mistrzostw
w piłce nożnej. Czy Czechosłowacja wejdzie do
półfinału? Jaki będzie wynik spotkania z Brazy-
lią? Brazylija była w tych dniach bliższa niż
Niemcy, a znacznie mniej mówiono o byłym na-
uczycielu gimnastyki Henleinie niż o fenomenal-

nym Brazylijczyku — Herculesie. — Słyszałem nawet wielką dyskusję wiejskich chłopaków o tymże Herculesie, przyczym chłopcy ci wykazywali ogromną znajomość jego całego życiorysu.

Mecz Brazylia — Czechosłowacja przesłonił inny mecz „team‘u“ Henlein — Hlinka przeciw „team‘owi“ Benesz — Hodža. — Może być, że było w tym i sporo świadomej propagandy czynników czeskich, ale jednak było to bardzo szczerre. Jeden z wybitniejszych polityków najsilniejszej partii rządowej — agrariuszy, z którego usiłowałem wycisnąć trochę informacji politycznych, z początku rozmawiał ze mną grzecznie i obszernie, ale gdzieś po wpół do ósmej zaczął się kręcić niespokojnie i wreszcie nie wytrzymał:

— Przepraszam bardzo, ale o ósmej zaczyna się audycja w radio.

— Jaka audycja?

— Jakto jaka? Wiadomości z międzynarodowych zawodów piłki nożnej. Skończymy naszą rozmowę jutro, dobrze? Jutro — o której pan chce.

„Jesteśmy narodem gimnastyków“ — głosi prasa rządowa i ma więcej racji, niż sama sądzi.

Czesi są istotnie prężni. Ta ich prężność, zdolność szybkiego zmobilizowania się, przejścia na ustrój okupacji wojskowej przy zachowaniu nie-
tkniętej dekoracji liberalno - parlamentarnej i gotowość do wojny w tak fantastycznie ryzykownych warunkach wywołała niesłychane rozgoryczenie w Niemczech. Niemcy po raz nie wiadomo który popełnili ten sam błąd — niedocenia-
nia innych narodów.

Kiedy byłem w Wiedniu, mimo wszystko nie umieli ukryć swego rozczarowania. „Schweyk will kämpfen!“ „Kartoffelkrieg“ — tak mówią z pogardą, która jest jednak nie tylko pogardą.

A w Czechach dzieciom na urodziny kupuje się już tylko ołowianych żołnierzy, albo lalki w strojach sokolskich.

* *
*

W chwili klęski Austro - Węgier żaden poważny Czech nie myślał o państwie narodowym. Pojęcie państwa narodowego było zupełnie obce systemowi myślenia starego pokolenia czeskiego. Ojczyzna profesora Masaryka, Czechy sprzed

lat kilkudziesięciu, to było pojęcie raczej polityczne i geograficzne, nie narodowe. Czechy były krajem mieszanym czesko - niemieckim. (Niemcy czescy do dziś dnia oburzają się, gdy Czechów po niemiecku nazywać Böhmen. „Nie, nie Böhmen, Tschechen. Böhmen to przecież i my jesteśmy“ — tłumaczył mi redaktor centralnego organu „S. D. P.“). Praga dziś jest miastem czysto czeskim, a procent Niemców jest w niej niewiele wyższy niż w Poznaniu. Ale w młodości Masaryka Praga była dwujęzyczna — niemiecko - czeska. Ten mieszany kraj stanowił część monarchii habsburskiej, przedziwnej mieszaniny ludów. Pojęcia i materiał wyobraźni Czechów kształtowały się w ramach Austro-Węgier.

Do dziś dnia w Małopolsce spotyka się starszych ludzi, którzy nie wyzwolili się z pojęć austriackich, którzy nawet na sprawy mniejszościowe w Polsce patrzą przez pryzmat austriackich pojęć. A przecież Galicja była dla Monarchii zawsze zagórkimi kresami, późno przyłączonymi o mocnej, obcej tradycji państwowej polskiej. O ileż większy wpływ miała Monarchia na psychi-

kę czeską! Czesi walczyli z Wiedniem i widzieli nienaturalność Austro - Węgier. Ale kiedy myśleli o państwie idealnym, to widzieli w nim poprawione Austro - Węgry, państwo narodowościowe, tylko oparte nie na dynastii i resztkach feudalizmu, ale na swobodnym zrzeszeniu wolnych ludów. Był to ideał, który otrzymał w pierwszych latach powojennych miano „Wielkiej Szwajcarii“.

Velke Svycarsko miało się trzymać nie przymusem ani tradycją, ale dobrą wolą zamieszkujących je ludów. Nie tylko zresztą dobrą wolą, ale i organizacją tej dobrej woli strzegącą.

Dlaczego Czechosłowacja pogodnie trwała przez lata, a teraz jest w tragicznej sytuacji, dlaczego dobrą wolę ludów zastąpił mundur „voja-ka“ i „policajta“? Co się załamało? Na te pytania nie odpowie w pełni nikt, kto nie zda sobie sprawy z podbudowy, jaką było dla Czechosłowacji — „Svobodne Zednarstvi“.

Jeszcze przed paroma laty w niemieckiej loży „Harmonia“ miewał referaty o planie zagranicznej polityki Republiki brat Benesz z loży

„Jan Amos Komensky“, „w świecie“ — minister spraw zagranicznych.

Urzędnicza i w gruciu rzeczy czechizacyjna loża „Jan Kollar“ w Bratisławie powstała z ramienia niemieckiej loży miejscowej „Zur Verschwiegenheit“ pod patronatem węgierskiej loży „Testveriseg“.

W wyższej loży, mieszanej pod względem narodowym, „Quatour Coronati“ miewał znowu odczyty o sprawach wojskowych brat Jan Syrovy z loży „Narod“, „we świecie“ — generalny inspektor armii czechosłowackiej i szef sztabu głównego. Do masonerii także należy jego zastępca i „porte parole“ armii czechosłowackiej generał Moravec, brat z loży „Bernard Bolzano“, znany jako publicysta piszący pod pseudonimem Yester.

Nie wiem, czy niemieckie wolnomularstwo wsiąkło w ruch henleinowski, czy też raczej pozostało nieco na uboczu wszelkich wydarzeń, ale nie wyobrażam sobie, by dziś czeski minister mógł tam przyjść z referatem. Nie wiem czy loża „Testveriseg“ jeszcze działa w tej chwili, ale jeśli działa, to z pewnością nie dopomoże do zało-

żenia żadnej nowej loży czeskiej. I tu w tym zwycięstwie solidarności narodowej nad solidarnością lożową jest źródło istotnego kryzysu politycznego wewnątrz Czechosłowacji. Delegacja Słowaków amerykańskich na pewno składała się w części z masonów. Jeszcze przez Warszawę przejeżdżała w nastroju wierności dla związku czesko-słowackiego, jakim ją naładowano w Ameryce. A wyjechała ze skandalem, bo stanęła całkowicie po stronie katolickich autonomistów słowackich. I w tym punkcie solidarność lożowa zawiodła.

Dla zrozumienia psychiki, panującej na niższych stopniach masonerii czeskiej, a może zresztą nie tylko czeskiej, warto zacytować interesujące nie tylko ze względu na stosunki czeskie, wspomnienia znanego pisarza czeskiego Machara, jak go przed wojną w Wiedniu usiłowali wciągnąć do masonerii kupiec Brabec, redaktor Necker i historyk literatury Gelber.

„Dr. Necker zaczął. Czy spotkałem się z instytucją wolnomularstwa? Ja, że tylko historycznie, o ile ono ma związek z naszym odrodzeniem. A cóż, mówią, dziś? Ja, że je uważam za beztreś-

ciwy przeżytek. Obaj dziennikarze i nasz gospodarz żywo zaprotestowali. Ja umilkłem, a oni zaczęli wyklądać. Wolnomularstwo jest de facto siłą pędną życia duchowego monarchii austro-węgierskiej i bractwem wszechświatowym. Sława nie jest abstrakcją, sława jest rzeczą konkretną, jak budynek i jak budynek musi się stawiać. Systematycznie od podstaw kamień za kamieniem i cegła za cegłą — a to czynią bracia. Bractwo włada całym dziennikarstwem: napiszcie powieść, dajcie grać w teatrze sztukę, wydajcie pracę naukową — jeśli jesteście bratem, macie z góry pewną pomoc. I w polityce, jeżeli jesteście bratem, będą wasze mowy zawsze chwalone, wasza działalność szanowana, każda wasza akcja znajdzie u nas poparcie. Wasze błędy będą umniejszane, tłumaczone, albo przemilczane. Cała sława literacka, naukowa i polityczna Wiednia oddycha tchem bractwa. Da się awizo, że tego a tego dnia gra się nowość przez brata X w tym a tym teatrze, teatr jest pełen, oklaski zapewnione, i recenzje wieńczą świeżymi laurami braterskie czoło. Malarze, kompozytorzy, rzeźbiarze, architekci — nie inaczej. Jest to duch

epoki. Epoka zindustrializowała się, sławę się wyrabia materialnie, innego procesu nie znam... Obowiązków mało: tu czy tam zabrać głos, tu czy tam odwiedzić teatr, koncert, wystawę, gdzie idzie o sławę brata. A oprócz tego — tu pan Brabec przytłumił znacząco głos — w dwie godziny po waszej śmierci zgłosi się upoważniona osoba do waszej rodziny i doręczy im 2000 reńskich. Od bractwa. A jeszcze dodał pan Brabec: znam malarza Schwaigra, byłoby dla nas zaszczytem, gdyby i on chciał się stać naszym bratem. Mam mu wszystko opowiedzieć i wezwać go w ich imieniu. I dodał, że obrazy jego będą szybko doprowadzone do wysokich cen“.

Wolnomularstwo było jak owa łoża w Użhorodzie „Centrum Securitatis“ — ośrodkiem bezpieczeństwa nie tylko na wewnątrz, ale i na zewnątrz. Zastępcą wielkiego mistrza Wielkiej Łoży Narodowej Czechosłowacji jest Francuz, fabrykant zamieszkały w Pradze Constant Pierre. Łączność z łożami zagranicznymi wysoko rozwinięta. (Łącznikiem z Polską, jeżeli to kogo interesuje, jest, a przynajmniej do niedawna był brat Przemysław Rudzki, doktor medycyny, za-

mieszkały w Warszawie, Chmielna 11). I te zewnętrzne związki straciły część znaczenia z chwilą, gdy w Niemczech i Austrii, a więc naokoło Czech odsunięto masonów od wpływu. Gdy zawiodło ukryte spoidło, wytworzyła się paradoksalna sytuacja: rzecznik samostanowienia narodów i demokracji państwowej — doktor Benesz „manu militari“ trzyma mniejszość niemiecką, która chce koniecznie odejść do państwa, najnamiętniej zwalczającego przed laty zasadę samostanowienia narodów. Hitler mówi argumentami Benesza, a Benesz odpowiada argumentami Hitlera.

„Die Muttersprache ist mir nur ein Verständigungsmittel“ — (język ojczysty jest dla mnie tylko środkiem porozumiewania się) powiedział przed laty profesor Masaryk... I co z tego pozostało?

Zbankrutowała struktura wewnętrzna, zbankrutowała dodatkowa idea czechosłowackości, a jednak Czechosłowacja istnieje nadal. Istnieje dlatego, że Czesi są narodem bardzo energicznym. Oni są, mówiąc bez obślonek, o wiele, ale to o wiele lepszymi administratorami, niż my.

STARE I NOWE CZESKOSŁOWENSKO

Niemieckie pismo satyryczne w Czechosłowacji uczciło dwudziestolecie Republiki humoreską p. t. „Jej dwudzieste urodziny“, przedstawiające dwudzieste urodziny młodej obiecującej panienki, która zaczęła robić straszne gaffy i dowiodła, że wcale nie jest dojrzała i nie zna się na „Haushaltung“.

Było to dosyć zabawne, ale nieprawdziwe. Bilans czeskiego dwudziestolecia państwowego nie jest kompromitujący. Zakończony jest bankructwem koncepcji politycznych, ale nie bankructwem zdolności państwowych. Koncepcja „Wielkiej Szwajcarii“ i masońskiego braterstwa ludów wzięła w łeb. Koncepcja czechosłowackości wzięła w łeb. Pacyfizm, „Svaz Narodou“ — także wzięły w łeb. Ale państwo się trzyma i by-

łoby złudzeniem sądzić, że może się rozlecieć od wewnątrz.

Czechosłowacja opiera się nie na żadnej koncepcji politycznej, ale na dobrej administracji.

Jeżeli ktoś chce z Rusi Podkarpackiej lub wschodniej czy środkowej Słowaczyny dostać się do Bratislawy, to musi stracić dużo czasu, natomiast do odległej Pragi dostanie się szybko wygodnymi połączeniami — pociągami pociągami lub wykańczaną obecnie „północną magistralą“, wielką betonową autostradą.

Jeżeli ktoś dostaje powołanie na ćwiczenia wojskowe, to z góry wzięto pod uwagę jego narodowość, lojalność dla państwa i dano mu przydział w stosowne okolice i do odpowiedniego pułku.

Nie jest przypadkiem, że Słowacy np. nie mają dotąd żadnego większego miasta jako swego centrum duchowego, w którym by stanowili większość. Było jedno miasto, gdzie tego rodzaju perspektywa się tworzyła — pierwotna stolica ruchu narodowego słowackiego — Turczański Św. Marcin. Była tam większość słowacka — była, ale już jej nie ma. Powstał tam bowiem (wła-

śnie tam) ośrodek przemysłu wojennego czeskiego, do którego sprowadzono masowo robotników z Czech. Aby zaś uzasadnić konieczność tego rodzaju osadnictwa, zaaranżowano uprzednio wielki proces szpiegowski rzekomo przeciwko Słowakom ze Św. Marcina Turczańskiego. Proces ten mimo upływu kilku lat od wszczęcia śledztwa nie odbył się dotąd. Miasto rozrosło się znacznie. Nowa dzielnica małych robotniczych domków otoczonych ogródkami kwiatowymi wabi z dala oko przechodnia. W ogródkach mówią po czesku. Dziś żadne większe ani nawet średnie miasto nie ma w Czechosłowacji większości ani polskiej ani słowackiej. Na Słowaczynie Czesi radzi patrzą na wielojęzyczność miast. W konglomeracie niemiecko-żydowsko-węgiersko-słowacko-czeskim, Czesi grają rolę arbitrow, podobnie jak grają rolę arbitrow w niemiecko-polsko-czeskich miastach Śląska Zaolzańskiego.

W Czechosłowacji dokonano po wojnie reformy rolnej. W okolicach czysto czeskich podzielono majątki niemieckiej arystokracji między ludność miejscową. W okolicach niemiec-

kich i węgierskich parcelację połączono z kolonizacją. W okolicach słowackich rozparcelowano węgierskie latyfundia, ale nie między miejscową ludność, tylko między zasłużonych, pewnych pod względem lojalności państwowej Czechów lub Słowaków centralistów i to oczywiście nie systemem drobnych działek, ale systemem folwarczków.

Czeskim demokratom i międzynarodowcom nie przyszłoby do głowy, że można po dwudziestu latach własnej państwowości pozostawić w rękach wielkiej własności niemieckiej na Pomorzu czy w Poznańskim znaczny procent ziemi, że można równocześnie parcelować majątki polskie także między ludność ukraińską w okolicach mieszanych. Taka „pryncypialność“ nie pomieściłaby im się w głowie. Dla Czecha to poprostu — „hlupost“.

Polacy, zarówno prorządowi jak i opozycyjni są przekonani, że u nas jest bardzo rozbudowany system policyjny i masa policji. Dla pozbycia się złudzeń powinni jechać do Czechosłowacji. Jest tam i żandarmeria i dwa rodzaje zwykłej policji (granatowej i zielonej) i policja

szturmowa (czarna) i, co najważniejsza, niezwykle rozgałęziona sieć agentów i konfidentów. Polski starosta, pod względem poinformowania o tym, co się dzieje w powiecie, jest naiwny jak dziecko w porównaniu ze starostą czeskim.

Starosta czeski ma wszakże do dyspozycji nie tylko policję ale i ekonomię. Czesi doprowadzili do perfekcji system nacisku ekonomicznego. Idealem Polaków jest, żeby tylko Polacy mogli robić w Polsce politykę, ideałem Czechów jest, żeby tylko Czesi mogli w Czechosłowacji robić pieniądze. Ideał ten jest niemal zrealizowany. Przemysł, handel, rolnictwo, finanse — wszystko skartelizowane, zorganizowane i poddane kontroli Pragi bez reszty. Bata nam się wydaje fenomenem. W Czechosłowacji Bata jest jednym z ogniw systemu. Bata, to jest monopol na „obuv“, a obok niego istnieje taki sam monopol na „szaty“, na „nabytook“ (meble), na „tisk“ (prasę), na „cestovani“ (podróże), na lasy i na wszystko inne. Rolnictwo czeskie jest zorganizowane imponująco w system „drużstw“, czyli spółdzielni. Drużstwa nie tylko zmonopolizowały handel rolny i przeróbkę przetworów rolnych, są także dru-

zstwa zarządzające majątkami ziemskimi, niegdyś należącymi do „velkostatkarou“ austriackich. Są to jedyne na świecie nieźle prosperujące kolektyny rolne, niedościgniony wzór dla „kołchozów“. Drużstwa czeskie rządzą także rolnictwem słowackim i ruskim i nie ma mowy, by do jakiegokolwiek zarządu okręgowego spółdzielni rolnych dopuszczano ludzi państwowo podejrzanych. Maximum stanu posiadania autonomistów słowackich, to jest drużstwo wioskowe.

Z tym systemem ekonomicznym jest organicznie związany system partyjny. Wiadomo, że koleje i „Czedok“ (czeski „Orbis“) są domeną socjaldemokratów, kooperatywy rolne domeną agrariuszy.

Partie czeskie są przewidujące i każda ma własny system stypendiów. Rozsądny młodzian, wstępujący na wyższą uczelnię, zapisuje się od razu do jakiejś partii: wie już, że nie zginie, że skończy studia i dostanie posadę.

Na Śląsku zaolzańskim nie mogłem z początku zrozumieć, czemu Polacy, nawet ci bojowi, gotowi na wszystko, nienawidzący Czechów, posyłają swoje dzieci do szkół czeskich, gdy mają

polskie. Aż zapytałem raz, ilu jest lekarzy Polaków na czeskim Śląsku. Namysłano się długo, aż wreszcie powiedziano mi, że właściwie jeden. Bo wolno praktykujący lekarz z robotników nie wyżyje, a Kasa Chorych Polaka nie przyjmie. To samo jest z adwokatami i inżynierami. To samo jest nawet ze sztygarami. A rzemieślnik i kupiec nie wytrzyma konkurencji z wielkim kartelem butów, mebli czy ubrań.

Żeby wznieść się nad poziom zwykłego górnika czy robotnika, trzeba zostać Czechem.

A już wszechobecna policja przypilnuje, czy się jest Czechem naprawdę. (Notabene wyrażenia „Czechosłowak“ używa się tylko na Słowacyzynie. W Czechach i na Śląsku nikt nie mówi „my Czechosłowacy“, tylko po prostu „my Czesi“).

Największy wszakże „kawał“ ustroju czeskiego nie jest opinii polskiej znany. Czechosłowacja posiada ustrój liberalny i demokratyczny. Ale każde państwo ma zawsze t. zw. strefę nadgraniczną, w której stosuje się różne ograniczenia wolności w interesie bezpieczeństwa państwa. W Polsce szerokość tej strefy wynosi mniej więcej

jeden powiat. W Czechosłowacji coś około tego, bo 25 kilometrów. Ale Czechosłowacja ma niezwykle kształt geograficzny wydłużony i cienki. W rezultacie strefa graniczna obejmuje (uwaga!): całą Ruś Podkarpacką, całe Kraje Sudeckie, cały Śląsk czeski i około połowy ziem słowackich. Razem stanowi to dokładnie 56,58 procent terytorium państwa, 52,5 procent mieszkańców, a według narodowości 85 procent wszystkich Niemców, 96 procent wszystkich Węgrów, 93 procent Rusinów, 80 procent Żydów, 98 procent Polaków, 50 procent Słowaków i... 30 procent Czechów. Arytmetyka jest dobra. W obszarze tym nie wolno między innymi: budować nic ani zakładać żadnego przedsiębiorstwa bez zgody władz wojskowych. Władze te mogą także zakazać pobytu cudzoziemcom. Dzieje się to na większości terytorium państwa, na wszystkich niemal terenach mniejszościowych. I pomyśleć, że „w oczach Zachodu“ Polska ma opinię kraju dyktatury wojskowej, a Czechosłowacja parlamentarnej republiki. A w tej republice władze wojskowe mogłyby w każdej chwili wywłaszczyć większość fabryk lub zabronić budować nowych

domów obywatelom innej narodowości. Świat jest pełen paradoksów.

Czechosłowacja może więc trwać. Oczywiście tak długo tylko, dopóki nie nadejdzie silniejszy wstrząs z zewnątrz. Bo w swoim obecnym układzie jako państwo narodowościowe w samym środku Europy nie przetrzyma, nie może przetrzymać silniejszych wstrząsów, podobnie jak monarchia austro-węgierska mogła trwać, ale nie mogła przetrzymać wojny — nie tylko przegrać, ale nawet zwycięskiej.

Toteż interesowało mnie niezwykle pytanie: jak sobie Czesi wyobrażają przyszłość swego państwa.

Od starych polityków partyjnych nie mogłem się w tym względzie nic dowiedzieć.

Odniosłem wrażenie, że nie mają w ogóle żadnej koncepcji, że liczą na przetrwanie. To co mi opowiadali na temat rozwiązania sprawy niemieckiej było niepoważne. Postanowiłem więc dowiedzieć się czegoś od młodych Czechów.

Młode pokolenie czeskie w swojej masie jest wciągnięte w system ekonomiczno - administracyjny - partyjny. Istnieje tylko jeden ruch niez-

leżny od panującego systemu, jedna organizacja młodych Czechów myślących kategoriami nowoczesnymi. Jest nią „Nowe Czeskoslovensko“.

Ruch ten powstał na terenie akademickim. W latach dwudziestych jako reakcja na panującą demokrację pojawił się czeski faszyzm generała Gajdy. Ruch ten był naśladownictwem włoskiego faszyzmu. Sam Gajda nie jest osobą zbyt ciekawą. W roku 1925 usiłowano go wciągnąć do masonerii, ale bez skutku. Wówczas faszyzm opanowała... policja. W zarządzie głównym partii siedziało aż sześciu ludzi policyjnych. Tego stanu nie chcieli tolerować akademicy, którzy stanowili najaktywniejszy element partii i nastąpił rozłam. Gajda wegetuje dalej. Młodzi znaleźli się w niezwykle trudnej sytuacji. Ani grosza. Zewsząd nagonka. Zaczęli wydawać pismo ideowe „Vlajka“ (Flaga, Sztandar), na pół literackie, na pół polityczne. Działali głównie na uczelniach. Wkrótce wyszli na ulicę jako kolporterzy. Sprzedawali „Vlajkę“ na głównym placu Pragi, reklamowali się przy pomocy różnych kawalów, prowadzili kurs nieprzejednanej walki z całym systemem. Przede wszystkim z Żydami.

Antysemityzm był i jest głównym hasłem ruchu. Jednak położenie finansowe było tak ciężkie, że brakowało często na wysyłkę pisma, a pewnego razu od zupełnej katastrofy uchronił je administrator, zastawiając w lombardzie cudzy i w dodatku żydowski smoking.

Na szersze wody „Nowe Czeskoslovensko“ wypłynęło od czasów... Waclawskiego. Po zamordowaniu ś. p. Waclawskiego w Wilnie i rozruchach akademickich w Polsce, wielka ilość Żydów z Polski wyniosła się na uczelnie czeskie. To stało się zarzewiem rozruchów, które zorganizowało i poprowadziło „Nowe Czeskoslovensko“. Były szarże policji, represje i oczywiście zamknięcie „Vlajki“. Dziś czescy młodzi narodowcy wydają „Vlajkę“ (czas zawieszenia właśnie świeżo upłynął) jako miesięcznik ideowy, „Nowe Czeskoslovensko“ jako nieperiodyczne wydawnictwo propagandowe, ukazujące się pięć razy do roku, i popularny tygodnik „Czeska Vyzva“, założony na miejsce zamkniętej przez policję „Pražskiej Vyzvy“, która z kolei była założona po zawieszeniu „Narodni Vyzva“.

„Nowe Czeskoslovensko“ jest jedyną organi-

zaczę konsekwentnie wrogą sojuszowi z Sowietami i konsekwentnie żądająca sojuszu z Polską. Mimo to nie tylko ze strony czeskiej, ale i ze strony polskiej ostrzegano mnie w Pradze:

— Niech pan tam nie chodzi, nie warto, to ruch bez znaczenia, niepoważny.

Ruch nie jest całkiem znowu bez znaczenia, skoro na zjeździe w dniu 14 kwietnia było 272 delegatów reprezentujących różne środowiska i skoro skupia najbardziej niewątpliwie ideowy element czeski.

Redaktor „Czeskiej Vyzvy“ na początku rozmowy zaraz mi oświadczył:

— My tu pracujemy wszyscy darmo. Ja mam swoje zajęcie prywatne, a pismo redaguję ideowo — i spojrzał na mnie oczekując efektu.

A gdy żadnego efektu nie dojrzał, był wyraźnie zdziwiony i rozczarowany.

„Nowe Czeskoslovensko“ ma bardzo wiele temperamentu i humoru. Temperament ten kieruje się głównie na walkę z Żydami i masonerią, choć na razie walka ta nie przynosi rezultatów. Program nie ogranicza się jednak do antysemityzmu. Hasłem ustrojowym ich jest „stavovsky

stat“ (państwo stanowe), to znaczy korporacjonizm. Bawią się nawet w ustalanie ilości ministerstw i korporacyj. Nie są bynajmniej pod wpływem hitlerowskim. Politycznie są zasadniczo antyniemieccy, programowo zaś ulegają raczej wpływom Action Française, choć nie są monarchistami. Poza tym mają wiele uznania dla Salazara. Studiują zresztą starannie całą literaturę nacjonalistyczną zachodnio-europejską. Mają tylko jedną cechę staro-czeską — wierzą w związki międzynarodowe: oczywiście nie w Ligę Narodów, ale chcieli by widzieć związek państw nacjonalistycznych. Wierzą także trochę w Słowiańszczyznę.

Wszystko to nie rozwiązuje oczywiście najciekawszego zagadnienia psychologicznego: jak nacjonalista czeski wyobraża sobie przyszłość Czechosłowacji. Aby to zagadnienie rozwiązać, zacząłem indagację od razu od środka:

— Czy jesteście Czechosłowakami?

— Po Pradze — powiedział — od lat krąży następująca anegdota: Zapytano raz Benesa, co to jest Czechosłowak. Benesz odpowiedział: „Widzicie, Masaryk i ja tośmy Czesi, Sztefanik i

Hlinka to Słowacy, a Majzner i Winter to Czechosłowacy“.

Ci czescy narodowcy są bardzo dumni ze swojej czeskości. Kiedy się patrzy na wspaniałość katedry świętego Wita, na ogrom Hradu praskiego, na piękno takiego małego miasteczka Jiczyna, gdy się pomyśli, że były czasy, w których na Wawelu mówiono po czesku, a Górnicki karciał rodaków, że wolą czeski, niż polski, który wydaje im się „gruby“ i nieelegancki, to się zaczyna tę ich dumę rozumieć.

— Słowacy są odrębnym narodem?

— Tak.

— Więc powinni mieć autonomię?

— Tak. Państwo korporacyjne będzie zdecentralizowane i da poszczególnym ziemiom szeroką autonomię. Wzorem dla nas jest królestwo świętego Wacława.

— A Niemcy?

— Nasza polityka zmarnowała dwadzieścia lat. Trzeba było zostawić swobodę Słowakom a wziąć się ostro do Niemców. Dziś jest już za późno na odniemczenie czeskiego pogranicza.

— A w polityce zagranicznej?

— Narody położone między Niemcami a Sowietami powinny się połączyć. Gdyby powstał sojusz polsko-czechosłowacko-rumuński, toby nawet Węgrzy musieli do niego przystąpić.

— Czy stoicie na gruncie katolickim?

— Na szerszym gruncie, na gruncie chrześcijaństwa.

„Nowe Czeskoslovensko“, teoretycznie nie uznaje „Führerprinzipu“, ale jego prezes inżynier Streibl ma władzę bardzo znaczną. Obok Streibla dużą rolę gra teoretyk ruchu Vrzalik, daleki publicysta Sousedik oraz podobno jeden z młodych arystokratów czeskich z historycznej, niemieckiej dawniej rodziny, pisujący pod pseudonimem „Bojna“.

Na ile oni wierzą, że państwo korporacyjne rozwiąże trudności narodowościowe, nie wiem. Na razie przede wszystkim zajmuje ich problem „židozednarstvi“, czyli „żydomularstwa“.

* *
*

Stosunki polsko - czeskie nie są dobre, a co ciekawsze nigdy nie były dobre. Odrębność by-

ła tak silna, że nawet w okresie największego zbliżenia, gdy na tronie praskim zasiadł „dobry król Władysław“ z rodu Jagiellonów, wnet zaczął swemu ojcu (może zresztą nie on sam) krzyżować plany na Węgrzech. Historia stara jak świat...

Stosunki polsko-czeskie przypominają stosunki dwóch organizacji politycznych niby zasadniczo bliskich sobie pochodzeniem i tendencjami, a obcych typem psychicznym. Takie pary pokrewnych a wrogich organizacji są zjawiskiem częstym w życiu politycznym. Odmienność typów psychicznych stwarza mur nie do przebycia, a podobieństwo celów rodzi ostrą konkurencję. Organizacje takie muszą walczyć i każda musi starać się drugą unicestwić, lub przynajmniej zredukować do roli nieważnej. Stosunki ich zawsze cechuje wielka pogarda wzajemna.

Tak jest i ze stosunkami polsko-czeskimi. Czesi lubią wskazywać jako przyczynę odmienną strukturę socjalno-kulturalną: Polacy są narodem o kulturze szlacheckiej, Czesi o chłopskiej. Nie jest to słuszne. Po pierwsze kultura czeska jest znacznie bardziej mieszczańska, niż chłops-

ka. Po drugie: skoro Słowacy są bardziej chłopscy kulturalnie, niż Czesi, powinni być Polakom bardziej jeszcze obcy, a tymczasem są o wiele bliżsi. Po trzecie niechęć wrodzona polsko-czeska wlecze się w ciąg dziejów od czasów wczesnego średniowiecza.

Niewątpliwie różnica kulturalna gra tu dużą rolę. Czeska mieszczańskość i materializm, polska szlachetczyzna i romantyzm — dzielą. Ważniejsza wydaje mi się jednak różnica typów psychicznych, będąca podłożem różnicy kulturalnej. Przy tych różnicach jest niewątpliwe podobieństwo pochodzenia, a więc konkurencja w przodowaniu Słowiańszczyźnie i niewątpliwe podobieństwo celów — stać się ośrodkiem Europy środkowej. Z tego podobnego celu wynika znowu konkurencja.

Chrobry, choć pół krwi Czech, aby zrealizować swoją koncepcję trzeciego, słowiańskiego cesarstwa, najechał Czechy, osadził swego pupila, zabrał Morawy. Brzetysław, któremu marzyła się wielka rola Czech, złupił i zniszczył Polskę. Przemyślidzi, którzy zdołali wydzwignąć Czechy do roli pierwszorzędnego czynnika politycz-

nego w Europie, podbili Małopolskę, niedopuszczając do zjednoczenia Polski. Reformacja i wojny religijne postawiły nas we wrogich obozach. Upadek Czech nie wywołał w Polsce większego wrażenia. I znowu po wielkiej wojnie Czesi chcieli wspólnej granicy z Rosją, chcieli odebrania Polsce Lwowa, odcięcia nas od Rumunii i Morza Czarnego. I zawsze w ciągu dziejów spychaliśmy sobie na kark niebezpieczeństwo niemieckie. Czesi z uczuciem ulgi patrzyli na propagandę odwetową niemiecką w stosunku do Pomorza, a my dziś patrzymy względnie spokojnie na niemieckie zamiary odebrania Czechom Sudetów.

Atmosfera pretensji o różne większe i mniejsze świństwa z przeszłości połączona z głęboką wzajemną pogardą znamionuje zawsze takie stosunki tworów podobnych zewnątrznie a bardzo różnych wewnątrznie, konkurencyjnych właśnie przez podobieństwo położenia.

Dzieje ostatnich kilku wieków zasadniczo zmieniły stosunek sił na korzyść Polski. Te dwa narody stały się niewspółmierne. Ale zręczna polityka czeska potrafiła doprowadzić do tego, że

w pierwszych latach po wojnie Czechy a nie Polska były ośrodkiem Europy środkowej. Ten okres się skończył. Polacy są największym narodem na międzymorzu bałtycko-czarnomorskim, siedzą nad wszystkimi z wyjątkiem Dunaju rzekami tego międzymorza: nad Odrą, Wisłą, Niemnem, Dźwiną, Dniestrem, Prutem. Kierownictwo powinno i musi przesunąć się w nasze ręce, a przez to Czechy automatycznie zejść z areny wielkiej polityki, zejść oczywiście nie bez strat.

Czesi są narodem twardym i wartościowym. Ale my przecież nie możemy tolerować dokoła siebie systemu politycznego francusko-czeskiego o podłożu żydowsko-wolnomularskim, gdy możemy stworzyć w to miejsce system polski o podłożu chrześcijańskim.

IV. N I E M C Y

SUDETY

Do Turnowa jedzie się przez kraj czysto czeski: teren falisty ale nie górski, żyzne ziemie, chmielniki i winnice, dachy, białe murowane domki w pięknych kwiatowych ogródkach. Za szymbami kolorowe begonie. Na skraju większych wsi boiska sportowe. Młodzież w pasiastych koszulkach kopie piłkę. W wagonie młodzi chłopcy jadą na mecz małomiasteczkowy i gwałtownie dyskutują o spotkaniu międzynarodowym Bawaria — Polska. W dyskusji bierze udział także pocziwy policjant ostrzyżony na jeża. W sąsiednim wagonie śpiewają wesołe ludowe piosenki.

W Turnowie pociąg pustoszeje. Dłuższe wspinanie się pod górę, tunel, drugi tunel i inny świat. Dolina porośnięta świerkami, strome zbocza, szumiący potok. Drewniane chałupy góralskie.

Drewniane chałupy o niecodziennym wyglądzie: ozdobione girlandami i czerwono-białymi tarczami. Na tarczach litery SDP, w girlandach czerwono-białe chorągiewki, w oknie jednej chałupy wielki portret mężczyzny w binoklach, o skupionej twarzy. W poprzek górskiej drogi napis: „Wir wählen Konrad Henlein“. Stacja z dwujęzycznym napisem: po czesku i po niemiecku.

Wsiadają młodzi ludzie w białych pończochach i w krótkich kurteczkach z wyłogami. W klapach czerwone znaczki: S. D. P. Jesteśmy w Sudetach.

Granica etnograficzna biegnie tu ostro jak nożem uciął — prawie nie ma pasa przejściowego — jedne wsi są niemieckie, inne obok czeskie. Niemcy siedzą po górach, Czesi po nizinach. Niemcy są ubożsi, Czesi bogatsi. Czyżby to znaczyło, że Czesi wyparli tu Niemców w góry? Redaktor Ulrich z S. D. P. przekonywał mnie, że tak, że Niemcy sudeccy to potomkowie Kwardów i Markomanów, o których pisali rzymscy geografowie, wyparci z nizin przez najazd słowiański. Pozostawmy p. Ulricha przy jego przekonaniach, bo i tak nie uwierzy, by mogło być

inaczej. Mniej fantastyczna a bardziej zgodna ze źródłami historycznymi jest druga teoria — Niemcy do Sudetów przyszli z tamtej strony, ze Śląska i Saksonii, przyszli już w czasach, kiedy rozpoczęła się germanizacja Śląska Dolnego — w późniejszym średniowieczu. Bądź co bądź i to wystarczy, aby stwierdzić, że osadnictwo niemieckie jest tu stare.

„Liberec-Reichenberg“. Dworzec pogrążony w dziwnym milczeniu, pozbawiony gwaru i ruchu. A przed dworcem? Przez głowę przechodzi mi nagle idiotyczny niepokój: „co będzie, nie mam wizy niemieckiej“. Bo: napisy na rogach ulic gotykiem i tylko po niemiecku; szyldy modnym uproszczonym hitlerowskim gotykiem; w oknach chorągiewki, portrety i napisy na każdym domu „Dieses Haus wählt Henlein“ (ten dom głosuje na Henleina); transparenty w poprzek ulicy „Głosujcie na listę 3“, i szczyt wszystkiego — tramwaje: nie o to chodzi, że tramwajarze nie jak w całej Czechosłowacji w ciemnych mundurach i austriackich szkopkach, ale w szarych ściśle hitlerowskich uniformach, ale o to chodzi, że w Reichenbergu jest ruch prawo-

stronny, odwrotnie niż w całym państwie, odwrotnie nawet niż w Wiedniu, a tak jak w Berlinie, Wrocławiu i Dreźnie — za Sudetami. Nie, jednak jesteśmy w Czechosłowacji: dwóch policjantów z bagnetami na karabinach, potem dwóch z karabinami bez bagnetów i znowu jeden z karabinem przy mostku. Dziś wybory.

Nad miastem panuje milczenie dziwnie złowrogie i pełne napięcia. Nikt nic nie mówi, tylko po ulicy chodzi milczący tłum: od placu przed gmachem „Assicurazioni Generali“ do końca Rynku Staromiejskiego i z powrotem (miasto na wielkość takie mniej więcej jak Toruń, ale bogatsze). Na rogach gromadzą się ludzie przed czerwonymi tablicami. Tablice urzędowe? miejskie? Nie, to tablice Partii Sudecko-Niemieckiej. Na rynku naprzeciwko starej oberży „Zum Goldenen Laum“ nowoczesny dom cały spowity w czerwień z ogromnym portretem Henleina. Przed nim milczący tłum i dwóch policjantów. Miejscowa gazeta niemiecka rzuca hasło na dzień wyborów „Eiserne Disziplin“. Nie krzyczeć, nie mówić za dużo, natychmiast bez oporu płacić wszelkie kary nawet niesłuszne. „Żelazna dyscyplina“

jest dochowana. Tylko wszystkie sklepy i wszystkie okna domów udekorowane.

Szukam długo po mieście przejawów jakiejś innej agitacji poza henleinowską — bezskutecznie. Wreszcie w jednej bocznej uliczce znajduję okno na pierwszym piętrze z czerwonym sztandarem za szybą i nalepką na szybie, wzywającą do głosowania na listę 4. To lokal partii socjaldemokratycznej niemieckiej. A w innej barwnej uliczce na murze barwy państwowe na afiszu. Pod nimi napis: „Ne dame se“ — dalszy ciąg afisza zdarty.

We wspaniale urządzonej, luksusowej kawiarni orkiestra umieszczona na podium między parterem a salonami pierwszego piętra gra melodii, przypominające dawne, dziecinne czasy — pruskie marsze wojskowe. Publiczność nie woła ani krzyczy, tylko zapamiętałe, długo bije brawa.

Wczoraj była dekoracja wieczorna miasta, dziś wybory w milczeniu, wieczorem koncert. Koncert w wielkiej sali — urządza SDP. W przerwach między muzyką będą nadawane komunikaty z obwodów głosowania.

Marsz wojskowy...

— Achtung: obwód siódmy 91 procent...

— Sieg heil, Sieg heil, Sieg heil...

— „Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt“...

Z Liberca położonego nad granicą śląską do Chebu położonego nad granicą bawarską przejechać można koleją przez terytorium etnograficzne czysto niemieckie drogą na Podmokly, znane szerzej pod nazwą Bodenbach, znane stąd, że tędy wiedzie najkrótsza droga z Berlina przez Drezno do Wiednia.

Cheb, czyli Eger, to już nie są Sudety, to jest Egerland.

Egerland: kilka powiatów czysto niemieckich, więcej—czysto frankońskich. Miejscowości w tym kraju albo w ogóle nie miały nigdy nazw czeskich, jak na przykład Asch, albo mają także nazwy czeskie, ale żywcem tłumaczone, jak Karlsbad — Karlove Vary. Egerland nie należał do Czech we wcześniejszym średniowieczu, w okresie kiedy Czechy były jeszcze samodzielnym państwem. Został oddany królom czeskim w zastaw przez jednego z cesarzy niemieckich.

Dowiedzieć się o tym musi każdy, kto zje

obiad w Chebie. Jedyna restauracja przyzwoita, to „Eger Rathskeller“. Całą ścianę restauracyjnej zajmuje malowidło wyobrażające rozmowę Wallensteina z mieszczanami chebskimi. Z boku dwa herby miasta: stary i nowy. Stary przedstawia czarnego orła cesarskiego w całej okazałości, nowy tylko górną połowę orła, a u dołu złotą kratę. Pod całym malowidłem biegnie wielki gotycki napis: cytata z „Wallensteina“ Schillera, część III „Wallensteins Tod“. Mieszczanie wyjaśniają, że „des Reiches freie Stadt“, a od czasu zastawienia miasta mają dolną połowę herbu okratowaną. Każdy cudzoziemiec czy turysta z tego obrazu dowiaduje się o istotnym nastroju miasta, jego dążeniach. Uważniejszy cudzoziemiec może jeszcze znaleźć w podwórzu starego ratusza tablicę z przed czterystu lat, gdzie mieszkańcy Chebu ślubują, że „każdy dzień zostanie nas równie wiernymi narodowi, jego prawu i jego językowi, jak ten dzień, nas zastał“.

Eger, jeśli chodzi o wygląd miasta, jest pięknym przedmieściem Norymbergii. Do Norymbergii bliżej stąd zresztą znacznie, niż do Pragi.

Wąskie kolorowe domy z pruskim murem,

studnie z pięknymi figurami gotyckimi na każdym placu, gotycki kościół z wyniosłymi wieżami, przepiękna ruina romańskiego zamku Barbarossy na skale porośniętej żółtymi kwitnącymi krzewami.

W sklepie z papierem można dostać fotografie Hitlera. Ulicą jedzie staroświecki wysoki wóz kryty budą płócienną. Na koźle chłop w granatowym surducie ze srebrnymi guzikami, w czerwonej kamizeli i czarnym kapeluszu, z porcelanową fajką sięgającą do pasa — Frankonia.

Przed farą opada mnie zgraja małych zebra ków. Może czteroletni dzieciak powtarza:

— Kauf mir Brot, kauf mir Brot.

Trochę starsza dziewczynka tłumaczy:

— Jest nas jedenaścioro w domu.

W Karlsbadzie przed górnym dworcem stoją cztery dorożki konne z końmi w niebieskich nausznikach. Na plac przed dworcem wychodzę sam jeden. Zajeżdża pusty autokar jakiegoś hotelu, stoi chwilę i pusty odjeżdża do miasta.

Na głównej ulicy ani jednego kuracjusza, ani jednego elegancko ubranego człowieka. Natomiast na samym środku ulicy stoi chłopak mo-

że osiemnastoletni, bosi, w usmarowanych spodniach i podartej marynarce. W klapie ma wielki, większy od normalnego, znaczek SDP.

Niemcy i Czesi wzajem na siebie spychają odpowiedzialność za katastrofę uzdrowisk w Egerlandzie (Karlsbad, Franzensbad, Marienbad, Joachimstal). Ale nie tylko Niemcy i Czesi są winni. Winien jest cały świat. Postępy medycyny i autarchia. Dziś każde państwo jest zdolne założyć u siebie namiastkę Karlsbadu. I każde państwo ma tendencję do zatrzymywania obywateli i ich pieniędzy u siebie. A warstwa międzynarodowych ludzi zamożnych zmniejsza się. Armie wojenne przyspieszyły tylko to, co musiało i tak nastąpić — upadek międzynarodowych kurortów. Ich epoka nie trwała nawet długo. Modę międzynarodowych kurortów rozpoczęli monarchowie absolutni z epoki Oświecenia. Jest to nawet dość zgodne z logiką, że bady Franciszków, Karolów i Marii nie wiele przeżyją państwo tychże Karolów, Franciszków i Maryj.

„AN DER SCHOENEN, BRAUNEN
DONAU“

Karole, Franciszki i Marie leżą szeregami w samym sercu Wiednia w Kaisergruft pod Kościołem Kapucynów. Jest ich półtorej setki. W mrocznych olbrzymich podziemiach naćla króluje Maria Teresa na wyniosłym grobowcu Franciszek Józef leży wysoko, koło niego wyżej — zaszytowa żona z jednej strony, syn samobójca z drugiej. Na grobie Orłątka spoczywa wieniec z francuską szarfą, na grobie „dobrej cesarzowej“ Elżbiety — z węgierską. Braciszek kapucyn pokazuje to z melancholią podszytą sentymentem. Nad grobami za to, nad poziomem ulicy łopoczą inne barwy — czarna swastyka w białym kole na czerwonym sztandarze.

Sztandarów ze swastyką jest w Wiedniu ilość niebywała. Największe rozpięte są na frontach gmachów publicznych. Kolumnada parlamentu

jest cała na czerwonym tle. Najmniejsze są z papieru i stanowią część nalepek na szybach z napisem „Sklep aryjski“, lub „Czysto niemiecka firma“. Znaczna część sklepów ma takie nalepki, a te, które nie mają, stoją pustkami. Swastyka bez sztandaru wygląda z każdego kąta — zapisane są nią płoty, mury kościołów, ściany wiejskich chałup w Austrii, każdy mężczyzna nosi ją w klapie marynarki w najrozmaitszych odmianach. Na rękawach czarnych mundurów noszą je na czerwonej opasce członkowie groźnej SS — elegancy młodzi wiedeńscy o zupełnie nie militarnym wyglądzie.

Naokoło wszyscy podnoszą sztywno ręce do góry i zewsząd słyhać brzmiające zgoła dobrodusznie, nieuroczyście „Ajtla“ (powstało z Heil Hitler, podobnie jak „Mojn“ z „Guten Morgen“).

Do Wiednia jedzie się z Bratislavy tramwajem i trwa to dwie godziny. Na granicy olbrzymi napis ustawiony wzdłuż toru głosi: Auslandsdeutsche und Auslandsösterreicher — das freie Deutschoesterreich begrüsst euch. Jeszcze wpra-

wdzie stary orzeł austriacki wisi na urządzie celnym, ale z drzwi tego urzędu wychodzi strażnik w „feldgrau“, w pruskiej sztywnej czapce z hitlerowskim orłem — Hajtla — powiada do niego podnosząc rękę konduktor. Wsiadają podmiejscy pasażerowie. Wszyscy mężczyźni mają różnego formatu swastyki w klapach, większość ubrana po austriacku: białe pończochy, krótkie skórzane spodenki, krótka kurtka z zielonymi wylogami. Portierzy w hotelu zza kontuaru podnoszą dłonie — Hajtla — mówią austriackim dialektem. Nawet dzieci nie machają rękami na przejeżdżający pociąg, ale podnoszą dłonie sztywno do góry. Mali chłopcy mają czerwono-białe znaczki Hitler-Jugend. Wojska na ulicach dużo. Część w starych mundurach austriackich, większość w niemieckich. Z daleka odróżnić można oficerów i żołnierzy ze „starego Reichu“ po sztywnym kroku i wojskowej postawie, której nie mają austriacy. Mundurów partyjnych nie wiele. Mniej więcej pół na pół — brunatnych uniformów partyjnych i czarnych S. S. Żydów na ulicach nie widzi się prawie wcale. W żydowskiej dzielnicy Leopoldstadt du-

żo sklepów pozamykanych z napisami „Gleich zu vermieten“.

Ale w sercu nowego Wiednia, w centrali NSDAP nie ma tego nastroju, którego by się można było spodziewać, sądząc po ilości odznak hitlerowskich na mieście. Hitlerowcy austriacy nagle ze stanu nielegalności przeskoczyli do stanu partii rządzącej i jeszcze improwizują. Być może, że w dzielnicowych lokalach partyjnych wre już życie. W centrali nie. Centrala mieści się na placu Am Hof w środku Wiednia. Musiał być tam przedtem jakiś bank, czy inne wielkie biuro. Olbrzymia mroczna hala na parterze jest pusta. Za okienkiem siedzi młody człowiek po cywilnemu i „amci“ systemem austriackim z wdziękiem i sumiennie ale bez zacięcia. Masy interesantów zupełnie nie ma.

Tylko przed wejściem stoi kilka aut i kilku umundurowanych Parteigenosse'ów, tylko jakaś pani dopytuje w portierni, gdzie w jej dzielnicy jest aryjski sklep z kapeluszami, tylko ktoś prosi o przepustkę do Propagandy.

Na jednym z górnych pięter zupełnie pustawego gmachu, w pokoju, gdzie na razie jedynym

umeblowaniem jest nowoczesne biurko z niklowych rur i także dwa fotele, rozmawiam z młodym dygnitarzem hitlerowskim o szlachecko-polskim nazwisku. Rozmowa idzie ciężko. Od czasu wywiadu Henleina z Ward Price'm jest instrukcja, żeby mówić ostrożnie, a niewątpliwie musi być i dokładny „Beweis“, co mówić, bo Niemcy mówią mniej więcej tymi samymi słowami i to samo:

— Czy prawda, że wyższe stanowiska w Austrii obsadzane są Prusakami?

— Nieprawda. Jest zaledwie trochę specjalnych urzędników, przeprowadzających unifikację i to tylko na czas unifikacji.

— Jak wyjdzie gospodarczo Austria na Anschlussie?

— Świetnie. Zbyt artykułów rolniczych i drzewa do Rzeszy... znakomite uzupełnianie się...

— A co będzie z Wiedniem?

— Rząd narodowo-socjalistyczny jak wszędzie zaprowadzi i w Wiedniu wielkie roboty publiczne, rozpocznie budowę nowych gmachów i dróg...

— Po co?

— Wiedeń raz jako stolica Otsmarku...

— Otsmark nie potrzebuje dwu i pół milionowej stolicy.

— Wiedeń będzie nie tylko stolicą Otsmarku.

— A więc czym będzie Wiedeń?

Zalega chwila ciszy.

A za oknami szumi Wiedeń, jedyne miasto w swoim rodzaju. Miasto, które silniej może łączyło monarchię habsburską w jedną całość niż dynastia habsburska czy interesy gospodarcze. Miasto — ideał dla ludów od Adriatyku po Morze Czarne. Miasto olbrzymie, a nie męczące swoją wielkością, w którym setki linii tramwajowych i autobusowych kursuje z wielką szybkością, nie wytwarzając zatorów. W którym nie ma tłoku, a za każdym rogiem rozłożystych skwerów na „Ringach“ znajduje się przestronna i elegancka kawiarnia. W którym dziewiętnastowieczne pseudogotyckie budynki nie rażą, a dziewiętnastowieczne pseudorenesansowe gmachy wyglądają dostojnie a nie ciężko. W którym przez rozległy cesarski pałac nie oddzielony od

miasta, lecz złączony z nim parkami jeszcze Francjozef pozwolił puścić ruch uliczny.

Nie rozumie wielu rzeczy w swoich rodzinnych miastach Czech, Słowak, Węgier, Chorwat, Słoweniec, Rumun czy Małopolanin, jeżeli nie widział Wiednia. Tam jest źródło nazw kawiarń lwowskich i krakowskich, wzór dla Plantów i Wałów, tam pierwowzór architektury, której pełno w miastach małopolskich w t. zw. „Ringentilu“. Wiedeń wyrósł nie jako centrum przemysłowe czy handlowe, lecz jako centrum państwowe. Ta wielka rola skończyła się już właściwie z upadkiem monarchii habsburskiej. Czy można ją w jakikolwiek sposób odrestaurować?

— Wiedeń będzie centrum handlowym dla krajów południo-wschodu — pada po chwili milczenia odpowiedź młodego Niemca.

— Dla jakich?

Znowu zalega milczenie. Z dołu dochodzi szum Wiednia. A za Wiedniem jest Dunaj. O sześćdziesiąt kilometrów w dół biegu Dunaju leży stolica Słowaczyny, Bratislava, niżej stolica Węgier Budapeszt, niżej stolica Jugosławii Bel-

grad, niżej nad lewym dopływem Dunaju stolica Rumunii Bukareszt, a nad prawym stolica Bułgarii Sofia. Südosten. Słowa o centrali handlowej nie są wysane z palca. W Jugosławii Niemcy zdołali gospodarczo wyprzeć Francuzów. W Rumunii musiały ich wpływy pójść bardzo daleko, skoro ostrożna Anglia dała im w ostatnich miesiącach tak potężną kontrparę finansową w tym kraju. W Bratisławie działa Partia Karpacko-Niemiecka z dużym powodzeniem. A Budapeszt, centralny węzeł basenu naddunajskiego, pozostaje zagadką. Kto tę zagadkę rozwiąże? Dwa tylko środowiska mają na to dane: Berlin albo Warszawa.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że Berlin. I że Berlin gospodarczo panuje nad basenem. A w każdym z państw basenu żyje poważna mniejszość niemiecka rozproszona po całym kraju.

Po wszystkich ziemiach dawnej monarchii siedzieli Niemcy, zwłaszcza w miastach. Niemcy z pogranicza węgierskiego (Burgenland) wrócili do Vaterlandu jeszcze w r. 1919. Niemcy czescy, mieszkający zwartą masą nad granicami Rzeszy, chcą do niej przyjść koniecznie.

Ale Niemcy na Słowacyzynie, Węgrzech, w Siedmiogrodzie rumuńskim, w Banacie jugosłowiańskim wrócić do wspólnoty terytorialnej nie mogą. Będą więc tkwić może jeszcze przez wieki jako drożdże pangermanizmu, jako komórki, przygotowujące polityczny i gospodarczy pochód Rzeszy na południo-wschód.

Podczas mojego pobytu w Wiedniu, uroczyscie uruchomiono miejscowy wydział partii „für Auslanddeutsche“.

Niemcom całkowicie wystarczyłoby tylko to jedno: Na tyle panować gospodarczo i politycznie nad Südosten, by w razie wojny mieć z tej strony neutralność i normalne stosunki handlowe. Wtedy jest pełna samowystarczalność Niemiec wraz z tym obszarem i wolne ręce na zachodzie i wschodzie. Wystarczy?

Mój rozmówca na ostatnie pytanie znalazł odpowiedź dyplomatyczną po dłuższej chwili.

— Niemcy nie mają zamiaru wtrącać się do wewnętrznych spraw jakiegokolwiek narodu. Pragniemy dobrych stosunków ze wszystkimi państwami a „insbesondere“ z Polską. Nie ma

powodów do jakichkolwiek zatargów między Niemcami a Polską.

Myślałem w tej chwili o Dunaju. Być może, że obaj myśleliśmy w tej chwili o Dunaju. Tylko jego myśli płynęły z falami Dunaju na południo-wschód, a moje myśli stawiały przeciw jego myśłom forsownie tamę gdzieś niedaleko za Wiedniem — między Bratysławą a Budapesztem.

V. P O L A C Y

na

163

POLACY W CZECHOSŁOWACJI

Nie pisałem dotąd nic o Polakach w Czechosłowacji, jako o osobnym temacie. Nie pisałem świadomie. Bo drażniący i bolesny spór graniczny przesłania większości Polaków spojrzenie szersze i pełniejsze na zagadnienia środkowej Europy, ogniskujące się dokoła państwa czeskiego. Chciałem naprzód zobaczyć to państwo i obejrzeć wpierw ogólne problemy. Na Śląsk Zaolzański zajechałem dopiero na samym końcu swojej wędrówki. Śląsk Zaolzański to zresztą nie całość zagadnienia polskiego w Czechosłowacji.

W Czechosłowacji żyją trzy rodzaje elementu polskiego. Pierwszy z nich spotkałem aż w Szaryskim, na wschodniej Słowacyzynie za Bardyjowem. Rozmawiały na drodze wiejskie baby — najpierw dwie, potem ze sześć. Od razu uderzyła mnie akcentacja, nie słowacka — na

pierwszej sylabie, ale na przedostatniej. Myślałem, że mówią po łemkowsku. Ale przegłos nie był ruski tylko polski — mowa wyraźnie zbliżona do polskiej, a nie do ruskiej ani słowackiej. Wzdłuż południowego stoku Karpat na wschodniej Słowaczynie ciągnie się cały pas takich wsi, powstałych prawdopodobnie z emigracji góralskiej, a przedzielonych od terytorium etnograficznego polskiego językiem etnograficznym łemkowskim. Na całym zresztą terytorium Słowaczyny wschodniej, za Preszowem, Bardyjowem, Koszycami, Wranowem znać duże pokrewieństwo z językiem polskim.

Z Żyliny do Czacy na północno-zachodniej Słowaczynie u stóp Beskidów, jechałem w koleji z rodziną chłopską. Usiłowałem z nimi mówić po słowacku, odpowiadali nieśmiało, z trudnością. Kiedy zaczęli mówić między sobą gwara, była to gwara mniej więcej polska. Ale zarówno ci spod Bardyjowa, jak i ci spod Czacy uważają się za Słowaków. Możemy żałować, żeśmy nie mieli w wieku XIX-ym swego państwa, żeśmy nie pracowali na tych terenach, ale nie możemy już dziś rościć sobie pretensji do tych okolic i tej

ludności. Możemy się co najwyżej cieszyć, że jest pomost kulturalny od nas do Słowaczyny, że są te gwary przejściowe i przejściowe obyczaje.

Nieco większe natężenie polskości jest na Górnej Orawie i Górnym Spiszu. Politycznie ziemie te nie należały do Polski niemal od czasów gdy przestały być puszciami niezamieszkanymi. (Na Spiszu tytułem zastawu trwało przy Polsce przez paręset lat kilkanaście miast, lecz były to miasta niemieckie, a okolice dziś zamieszkiwane przez element językowo polski należały do Węgier; tylko pewne okolice koło Piecin i na Górnej Orawie należały do Polski we wczesnym średniowieczu). Znaczna część Zagórza spiskiego, dziś językowa polska, przed paru jeszcze wiekami była niemiecka (takie miejscowości jak Frydman (Friedmann), Krempachy (Krummbach), Dursztyn, Trybś (Triebtsch), Falsztyn, Kacwin (Katzwinckel), które dziś leżą w Polsce i są góralskie, mają wyraźne ślady niemieckiego osadnictwa spolonizowanego następnie częścią przez imigrację podhalańską, częścią przez asymilację. Niemcy nie ujęci w ra-

my organizacji państwowej łatwo się wynaradawiają. Nad granicą Polską nie brak i wsi pochodzenia wołosko-ruskiego, jak Osturnia i Zdziar, dziś językowo częściowo lub całkowicie polskich. Język tam wszędzie dziś polski, choć przechodzi w słowacki, zatracając „ł“ i „ą“.

Pod względem uświadomienia narodowego w chwili arbitrażu mocarstw po wojnie, nie było tam prawie żadnego. Państwowo — Węgrzy, narodowościowo raczej Słowacy, niektórzy — Polacy. Granica między Węgrami a Galicją nie była granicą narodową. Granica między Polską a Słowaczną stała się nią.

Dwadzieścia lat zrobiło swoje. Po polskiej stronie dziś już tylko na cmentarzach znaleźć można słowackie napisy. Znam rodzinę góralską, której część została po stronie polskiej, część, w sąsiedniej wsi, po słowackiej. I teraz jeden z członków tej rodziny jest działaczem słowackim, a jeden polskim. Gdybyśmy kiedyś zabrali się do rewindykowania tych wsi, nie zaspokoilibyśmy tęsknot narodowych górali tamtejszych, bo ich nie mają. Natomiast zaognilibyśmy sobie stosunki ze Słowakami i stracili to źródło wpły-

wów kulturalnych a nawet i politycznych, jakie daje istnienie inteligentów słowackich góralskiego pochodzenia. Zatem trzeba zrezygnować? Rezygnacja jest rzeczą przykrą, ale to nie jest rezygnacja, tylko przeniesienie zagadnienia na wyższą płaszczyznę.

Na Śląsku Zaolzańskim jest inaczej.

Wstęp tego zagadnienia miałem jeszcze przed wstąpieniem na ziemię Republiki. Do granicy Czechosłowacji jechałem w przedziale jako jedyny cywil, oprócz mnie byli sami oficerowie. Jeden z nich, starszy już wiekiem kapitan, jak wynikało z rozmowy Ślązak, syn chłopca z czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, opowiadał swe wspomnienia z krótkotrwałej wojny polsko-czeskiej na Śląsku. Dawał przykłady niebywałego istotnie chamstwa czeskiego i ich narodowej zaborczości. Mówił także, że odwiedza swego ojca po tamtej stronie granicy. Wówczas jeden z młodszych oficerów zapytał:

— A jak tam jest panie kapitanie, bardzo prześladują Polaków?

— Prześladują? Nie. To jest państwo, panie. My byśmy też tak robili.

Po przyjrzeniu się sytuacji na miejscu sędzę, że byśmy tak jednak nie robili, bo byśmy nie potrafili.

Oczywiście, prześladowanie Polaków na Śląsku Zaolzańskim, to nie jest prześladowanie w stylu Wrześni czy Chełmszczyzny. Bądźmy szczerzy — ucisk Polaków na Śląsku czesko-cieszyńskim jest znacznie mniejszy, niż ucisk Polaków na sąsiednim Śląsku Opolskim.

Jest to ucisk stosunkowo łagodny, ale niebezpieczny.

Polacy stanowią większość w kilkudziesięciu wsiach i miasteczkach śląska czeskiego. Powiat sądowy jabłonowski jest niemal czysto polski, powiat sądowy czesko-cieszyński ma większość polską, w powiecie sądowym frysztackim Polacy stanowią mniej więcej połowę ludności, w powiecie sądowym bogumińskim poważną mniejszość.

Według statystyk urzędowych czeskich jest Polaków w Republice 100.000. Polacy sami siebie liczą na 150.000 na Śląsku Zaolzańskim. Oficjalnie są 44 gminy z bezwzględną większością polską i 3 ze względną większością polską.

Polacy twierdzą, że gmin z większością rzeczywistą polską jest osiemdziesiąt.

Licząc na nasze stosunki jest to półtora powiatu zwartej ludności polskiej. A jednak tego na miejscu nie widać. Nie tylko dlatego, że miasta są najmniej polskie (stałą większość polską posiada tylko najmniejsze z nich — Jabłonków), ale także dlatego, że Polacy mówią ciszej niż Czesi, czy Niemcy, że szkół polskich jest mało. Napisy polskie są — nawet urzędy państwowe w miejscowościach o silnej mniejszości polskiej mają napisy w dwóch językach — inna rzecz, że polszczyzna tych napisów jest dość dziwna, np. „kontrolny urząd dochodowy“. A jednak mało się o tym wie, że większość rodziców polskich posyła swe dzieci do szkoły czeskiej, że ilość dzieci w polskich szkołach spadła od roku 1921-go kilkakrotnie.

Najdrastyczniejszym może wyrazem położenia ludności polskiej jest gwałtowny spadek przyrostu naturalnego wśród Polaków.

Przyrost naturalny spadł w dziesięcioleciu 1925—1935 u wszystkich narodowości, zamieszkujących Czechosłowację. Ale jak? U Czechów

spadł z 8 na 3 promille (o 5), u Niemców z 6 na 1 (o 5), u Słowaków z 16 na 10 (o 6), u Węgrów z 12 na 8 (o 4), u Rusinów z 23 na 18 (o 5), u Żydów z 11 na 5 (o 6), a u Polaków z 23 na 5 czyli o 18 promille w ciągu dziesięciolecia!

— Nie ma tu miejsca dla polskich dzieci — powiedział mi pewien starszy działacz polski ze Śląska Czeskiego — więc guma u nas panuje wszechwładnie.

Tajemnica metod czeskich, które do tego doprowadzają jest niezmiernie prosta: ucisk ekonomiczny. Śląsk Zaolzański jest krajem przemysłowym. Kopalnie, huty, fabryki należą albo do kapitalistów czeskich, albo do kapitału czesko-niemieckiego, albo wreszcie wprost do rządu czeskiego. Wolne zawody są całkowicie zależne albo od rządu albo od przedsiębiorstw. Lekarz wolno-praktykujący nie utrzyma się, inżynier niezależnego biura nie założy, adwokat z największą tylko biedą może utrzymać się z klienteli robotniczej. Kupcy i rzemieślnicy są rugowani przez wielkie firmy czeskie. Szewców wyrugował Bata, krawców i składy z konfekcją —

Nehera i Rolny, stolarzy O. S. D. Większe hotele, drukarnie, rozrywki trzyma w ręku koncern Melantricha. I tak wszędzie.

Jeżeli się do tego doda bardzo rozbudowane organizacje sportowo-narodowe młodzieży czeskiej (Sokół, Orel, Socjalistyczna Tielotwiczna Jednota, bogate kluby sportowe), obraz nacisku będzie dość pełny.

Toteż Polakom w Czechosłowacji grozi poważne niebezpieczeństwo. Jeżeli domagają się oni w tej chwili tak mocno autonomii, to przede wszystkim dlatego, żeby przerwać ucisk ekonomiczny, żeby lokalna administracja o większości polskiej wzięła w obronę robotników. Przy tym uzyskanie autonomii miałyby wielki skutek psychiczny — odprężyłoby Polaków śląskich.

Przed wojną Śląsk cieszyński był rządzony przez Niemców. Czesi mieli do wyboru albo zwrócić ostrze walki przeciw Niemcom, stanowiącym głównie warstwę mieszczańską, albo przeciw Polakom, stanowiącym warstwę robotniczo-chłopską. Aż do ostatnich lat Niemcy byli mniejszością narodową, biorącą udział w rządzie i wyraźnie forytowaną. Czesi poszli na walkę z

Polakami z całym nakładem energii, z użyciem całego aparatu ekonomicznego i politycznego. Osiągnęli pewne rezultaty — polskość się cofnęła. Zatrzymali w ten sposób naturalną ewolucję, miasta pozostały obce wsi i osadom robotniczym. Miasta na Śląsku Zaolzańskim nie są polskie — są trójjęzyczne: niemiecko-czesko-polskie. Niemieckiego słyszy się najwięcej.

Polacy to niemal wyłącznie proletariat miejski i chłopi, trochę pastorów i nauczycieli. Chłopi stanowią 30 procent ogółu ludności polskiej, robotnicy przemysłowi 60 procent, robotnicy dniówkowi 5 procent, urzędnicy i pracownicy umysłowi 3 procent. Polacy są w większości ewangelikami (pozostałość ponurej zasady — cuius regio-eius religio), w mniejszości katolikami, ale walk religijnych wśród nich nie ma.

Dla Czechów ta ziemia ma znaczenie zasadnicze nie tylko jako teren kopalń węgla koksującego, ale przede wszystkim jako teren, przez który idzie linia kolejowa łącząca Czechy z całą Słowaczną, z wyjątkiem Bratysławy i okolic, i z Rusią Podkarpacką. Polacy w czeskim Cieszynie, toby oznaczało ujęcie przez Polskę w pal-

ce najważniejszej arterii organizmu państwowego. Dla Czech jest to tylko kawałek ziemi pogranicznej, dla republiki czechosłowackiej jest to jedna z kości kręgosłupa.



Lew czeski (patrz na obrazek kompozycji autora) choć ma głowę okoloną częściowo niemiecką grzywą, rozłożył swój podwójny ogon na przestrzeni o długości sześciuset kilometrów. Śląsk Cieszyński wypada nieco poniżej miejsca gdzie kość ogonowa przyrasta do kręgosłupa. Kręgosłup biegnie przez północ wzdłuż granicy polskiej a potem niemieckiej do Pragi. Z tej strony lew jest najślabszy. Od Pragi (tam gdzie zmarszczka na czole) jest bliżej do Genewy niż do Jasiny (gdzie dalsza z

pytek ogona). To też prezydent Republiki dużo pewniej czuje się w Genewie niż na Rusi Podkarpackiej we własnym państwie.

A jednak Polska nie może nigdy zrezygnować z całości polskiego Śląska, a więc i ze Śląska Zaolzańskiego. Tam sytuacja jest wręcz odwrotna niż na Zamagórze — i ludność tego chce za wszelką cenę i panowanie czeskie za Olzą jest źródłem stałych walk i zadrażnień między Czechami a Polską.

POLACY WOBEC CZECHOSŁOWACJI

Czechosłowacja, biorąc rzecz „geopolitycznie“, składa się z dwóch odrębnych terenów: jeden z nich to zamknięte górami dorzecze górnej Łaby, stanowiące kotlinę czeską i sąsiadujące z nim dorzecze Morawy. Drugi to północno-zachodnia część basenu naddunajskiego, w której leży Słowaczyna i Ruś Podkarpacka. Przekształca te dwa tereny pasmo Białych Karpat. I jeżeli wydaje się czymś nienaturalnym, by Polska miała sięgnąć za Karpaty, to warto pamiętać, że Czechy zrobiły coś równie nienaturalnego — także sięgnęły poza Karpaty. Bo Czechy leżą po tamtej stronie Karpat co Polska, a tylko Słowaczyna leży po drugiej stronie.

Kulturalnie są to także dwa całkiem różne obszary. Kultura czeska odrodziła się niemal z popiołów w walce z niemiecką. W walce zaś bie-

rze się często więcej od partnera niż w pokojowych warunkach. Z języka czeskiego wyeliminowano najstarannej wszelkie słowa niemieckie, lub przez Niemców używane. Nawet niewinne nazwy jak: plac, rynek, peron, kasa, teatr, bilet, fabryka, oficer — otrzymały brzmienie czysto słowiańskie. Ale sens tego brzmienia jest zazwyczaj dosłownym tłumaczeniem analogicznego określenia „czysto“ niemieckiego. Czechy są krajem bardzo zachodnio-europejskim: zindustrializowanym, zmaterializowanym kulturalnie, zurbanizowanym.

Kwestia żydowska także wygląda tam po zachodnio-europejsku. Jest to kwestia wpływów w literaturze i wolnych zawodach, udziału kapitału żydowskiego w wielkich koncernach. Poza tym jest w Pradze trochę sklepów ze starym ubraniem i najstarsza w Europie Synagoga, przy tym jedyna na świecie gotycka, która nazywa się tak, jak wydawnictwo „Hajnta“ w Warszawie — „Alt-Naj“, czyli staro-nowa.

Na Słowaczyźnie i Rusi istnieje kwestia mas żydowskich, żydowskiego monopolu handlu detalicznego, ghetta, bojkotu, pejsów, domokraż-

ców, kahałów, żargonówek, większości w małych miastach, roli wyborczej, eksploatacji lasów, handlu ziemią, lichwy, wyzysku chłopów, nawet pogromów. Słowaczyna i Ruś są niedoinwestowane, niezmaterializowane, wiejskie. Słowaczyna i Ruś Podkarpacka stanowią część Basenu Naddunajskiego. Basen Naddunajski obejmuje, z grubsza biorąc: Słowacyznę, Ruś Podkarpacką, Węgry, Rumunię, Jugosławię i Bułgarię. Austria przestała istnieć, zresztą ten alpejski raczej kraj nigdy jako odrębny czynnik do Basenu nie należał, to znaczy należał „na przyczepkę“ tak jak dziś Czechy.

Na Słowaczyźnie i Rusi Podkarpackiej dotąd przeważa kultura węgierska — przeważa wszakże w różny sposób. Na Rusi jest to bezpośrednio kultura węgierska, węgierski język, węgierski styl życia. Na Słowaczyźnie kultura węgierska działa pośrednio — o tyle o ile ukształtowała kulturę słowacką. Wino, bryndza, czardasz i beztroski styl życia, sielskość i zadzierzystość — to jest słowackie, ale dlatego, że było kiedyś węgierskie.

Kwestie religijne wyglądają także zupełnie

inaczej w basenie nadłabiańskim a inaczej w basenie naddunajskim. Czesi nie są wszyscy komunistami ani ateuszami, jak to może sądzić czytelnik prasy polskiej. Są tylko wolnomyślni. Wieś jest przeważnie katolicka ale raczej tylko z przyzwyczajenia. Jest natomiast wiele katolików naprawdę wierzących. Są to katolicy w stylu francuskim — intelektualni, konsekwentni i czujący się mniejszością.

W sercu Czech, na Rynku Staromiejskim w Pradze stoi duży barokowy kościół. Wewnątrz dużo kwiatów i... ikonostas dzielący nawę od prezbiterium. Jakiś gruby facet w jasnym garniturze klóćąc się głośno z chłopakiem, zwijają czerwony chodnik. Co za kościół? Objasnia wielki plakat naklejony w nawie: „Czechosłowacka Cerkiew Narodowa“. Oprócz tej cerkwi istnieje jeszcze „Ewangelicka Cerkiew Czechosłowacka“, istnieją „Bracia Czescy“ — wszystkie trzy oparte na nauce Husa, poza tym Zbór Ewangelicko-Augsburski i Ewangelicko - Reformowany. Poza tym duży procent bezwyznaniowych.

Słowacy są bardzo katolicy i to katolicy „po polsku“. Katolicyzm jest tam instytucją na-

rodową, nieodłączną częścią narodowego myślenia, fundamentem poczucia swej odrębności, nieodzowną częścią wszelkiej manifestacji. Do kościoła i na uroczystości religijne chodzą wszyscy. Największe wydawnictwo słowackie to „Spolek Sv. Vojtecha“ z siedzibą w Trnawie, o bardzo okazałej cyfrze nakładów, wydające swoje pismo literacko-społeczne „Kultura“.

* *
*

Byłem w Bratysławie, gdy przewożono tamtędy z Rzymu do Polski relikwie świętego Andrzeja Boboli. Wiadomość przyszła bardzo późno. Poza tym polska zupełnie nie doceniała tych spraw i na dwa dni przed przejazdem pociągu - pielgrzymki nikt na Słowacyzynie o tym nie wiedział. Dopiero w dzień przejazdu ranne pisma podały wiadomość, że o północy na dworcu głównym zatrzymają się relikwie polskiego męczennika. Dwunasta w nocy, to w cichej i prowincjonalnej Bratysławie pora niezwykle późna. A jednak hala dworca była natłoczona. Były sztandary organizacji katolickich i naro-

dowych słowackich. Tłum składał się w przeważnej części z robotników, ale widać było i sporo chłopów z okolic podmiejskich. Była także cała słowacka inteligencja bratysławska. Nie tylko działacze autonomistyczni, ale także ludzie ostrożni i apolityczni, nawet urzędnicy, należący oficjalnie do partii agrariuszy czeskich. Był cały miejscowy kler i świecki i zakonny. Tłum tłoczył się na peron, ale ze względów porządkowych jak sądzę, policja broniła wstępu.

Na peronie ustawiono prowizoryczny ołtarz i na ten ołtarz księża polscy wynieśli z wagonu-kaplicy trumienkę z relikwiami.

Wówczas zaczęła się defilada. Nieprzerwany sznur osób wpuszczanych na peron przechodził przez godzinę przed ołtarzem. Dotykano relikwie różańcami i obrazkami, żegnano się, niektórzy ludzie wracali drugi raz. Jakieś dwie dziewczyny spóźnione siłą wydarły się zatrzymującym je policjantom, by dostać się do relikwii. Kiedy już wniesiono trumienkę z powrotem do wagonu, a w oknie ukazał się biskup Niemira, setki rąk wyciągnęły się do niego z książeczkami, różańcami, obrazkami — aby je na chwilę dotknąć

do relikwii. Dziesiątki rąk podawało wiązanki kwiatów do wagonu-kaplicy.

Błogosławieństwa pasterskiego cały dworzec wysłuchał klęcząc. Po krótkich po polsku wygłoszonych przemówieniach biskupa pińskiego i superiora Jezuitów wybuchła fala entuzjazmu — wznoszono okrzyki ku czci Polski, ku czci katolickiego narodu polskiego. Śpiewano hymny narodowe — polski i słowacki, potem pieśń „Serdeczna Matko“. Gdy zaś biskup Niemira ozdobił sztandar miejscowego „Orla“ („Orel“ jest to katolicka konkurencja „Sokoła“, który w Czechosłowacji ma charakter wolnomysłicielski i wolnomularski. Formalnie „Orel“ jest jeden, ale faktycznie istnieją dwa niezależne — „Orel“ czeski i „Orel“ słowacki, podobnie jak istnieją dwa skautingi katolickie — czeski i słowacki, niezależnie od skautingu wolnomularskiego) wiązanką kwiatów, które od Rzymu leżały na trumience, entuzjazm dosięgnął szczytu. Pociąg odjechał wśród okrzyków i śpiewów.

Na dwóch jeszcze stacjach na terenie Słowaczyny, na których pociąg z relikwiami się zatrzymywał — w Kutach i w Malarkach, mimo

nocnej pory wyszły na dworzec pielgrzymki z pochodniami i świecami.

Podobno jeszcze bardziej uroczyście witano relikwie Św. Andrzeja w Jugosławii, w słowiańskiej Lublanie.

Duże wrażenie wywarła na Słowaczyźnie wiadomość, że relikwie świętego Svorada mają być uroczyście przeniesione w Częstochowie na główny ołtarz Bazyliki. W Polsce mało się wie o świętym Svoradzie, a szkoda. Bo święty Svorad to jest patron i apostoł Słowaczyny. Dom akademicki katolicki w Bratysławie nazywa się „Svoradov“. Otóż święty Svorad, to jest Świerad, Polak, pustelnik i misjonarz wczesnego średniowiecza.

Jedyną rzeczą, jaką Polska w tej chwili imponuje innym narodom środkowej Europy jest jej chrześcijaństwo. Na całej przestrzeni między niemieckim pangermańskim, antychrześcijańskim rasizmem, a rosyjskim ateistycznym, antychrześcijańskim komunizmem, są Polacy największym narodem chrześcijańskim. I właśnie chrześcijaństwo może być jedynym czynnikiem cywilizacyjnym wiążącym wszystkie narody

środkowo-europejskie. Kto chce nimi kierować, musi w najwyższym stopniu i w najczystszej formie reprezentować swoim życiem narodowym i swoim ustrojem państwowym i swoją polityką zewnętrzną — chrześcijaństwo. Zapewne chrześcijaństwo nie ma cechy porywającej nowinki, ale ma za to cechy wielkiej trwałości i... prawdy.

Pod tym względem naród polski w swojej masie wykazuje znacznie więcej instynktu politycznego, niż rządząca warstwa inteligencji w średnim wieku.

* *
*

Na wschodniej Słowaczyźnie wśród Słowaków zaczyna się już cerkiew unicka. Kościół grecko-katolicki na południe od Karpat nie ma, jak w Małopolsce Wschodniej charakteru kościoła narodowego. Walczą z nim trzy wpływy narodowe. Diecezja preszowska składa się przeważnie z wiernych narodowości słowackiej. W diecezji użhorodzkiej walczą Ukraińcy z Węgrami. Kler jest węgierski. Biskup użhorodzki za-

ledwie kilka słów umie w miejscowym dialekcie ruskim, mówi po węgiersku. Młodzi alumni seminarium, mimo że pochodzą ze wsi ruskiej, a uczą się głównie po łacinie, mówią między sobą po węgiersku. Ukraińskość reprezentują przeszczepieni z Polski Bazylianie. Są oni ośrodkiem ruchu ukraińskiego w ogóle. W tym samym duchu działają i siostry Bazylianki.

* *
 *

Co będzie z Czechosłowacją? Oto naiwne pytanie, które mi stawiają wszyscy po powrocie. Odpowiadam wyraźnie: „Nie wiem“, ponieważ tylko ta odpowiedź jest zgodna z prawdą i logiczna. Trzy rzeczy są pewne: Po pierwsze wszelkie reformy i układy, którymi zajmuje codziennie swoje szpalty prasa całego świata, nie mogą doprowadzić do niczego. Może zelżeć tu czy owdzie system czeski, ale zlikwidowany nie będzie, bo Czesi nie są samobójcami. Przecież nawet gdyby dali prawdziwą autonomię wszystkim mniejszościom, toby jeszcze niczego nie rozwiązywało, a państwo stałoby się fikcją. Na

Rusi Podkarpackiej wszyscy krzyczą o autonomii, ale mam wrażenie, że nikt jej nie chce naprawdę, bo żadne ugrupowanie nie wie kto by wtedy zaczął rządzić. Jedni Słowacy szczerze chcą autonomii, ale pod tym słowem rozumieją federację.

Jeżeli Czesi pertraktują długo i ustępliwie ze swymi mniejszościami, jeżeli przyjmują z pokorą upakarzające pośrednictwo Anglii, to robią to, aby zyskać na czasie. Pewien polityk czeski, redaktor jednego z głównych organów prasy rządowej oświadczył mi wprost:

— Te pertraktacje muszą trwać pół roku.

Dlaczego muszą. To bardzo proste. Pół roku potrzebne jest na dozbrowienie. Za pół roku Czechy będą nie do zdobycia... szybciej niż w parę tygodni. A to już znaczy bardzo wiele, bo uniemożliwia zlokalizowanie wojny i zwycięstwo przez zaskoczenie.

Więc w tej chwili nic się nie zmieni. A na dalszą metę? Logika mówi, że w epoce nacjonalizmów, w środku dużych państw narodowych nie jest prawdopodobne istnienie państwa narodowościowego.

Zamiast więc bawić się w kabalarki, postawić należy inne pytanie: Do czego powinna dążyć Polska?

Gdybym był Bolszewikiem, pragnąłbym jak największego zacieśnienia sojuszu z Czechosłowacją — bo to jest postawienie nogi w samym środku Europy, wsadzenie Hitlerowi ręki pod żebro, otoczenie Polski od południa i w dodatku możliwość rozgrywania sprawy ukraińskiej od tamtej strony Karpat.

Gdybym był Niemcem, robiłbym wielki wrzask o Sudety, ale w rzeczywistości nie pragnąłbym ich przyłączenia, którego wyniki poza satysfakcją dumy narodowej i logiki myślenia nacjonalistycznego, byłyby bardzo wątpliwe. Pragnąłbym natomiast szantażować Czechów sprawą sudecką tak długo aż się załamią. Wtedy postawiłbym moje warunki: moja organizacja dyspozycyjna — Partia Sudecko-Niemiecka jest największą partią Republiki; moi Niemcy rozrzućni po odległych i nieczeskich częściach Republiki stanowią żywioł ruchliwy, karny i kulturalny; zatem niech Niemcy dostaną odpowiedni udział w rządzeniu Republiką, niech sta-

ną bazę w sprawie ukraińskiej (może jakieś lechami, Słowakami i Węgrami — niech Republika zerwie sojusz z Sowietami i Francją, niech zawrze z Rzeszą pakt przyjaźni; mam wtedy otwartą gospodarczo i militarnie drogę do Rumunii (Petrol, meine Herren, Petrol!), mam w ręku Węgry otoczone z dwóch stron, odcinam Polskę od wszelkich wpływów południowych, mam do granicy sowieckiej już tylko kawałek przez Pokucie albo Bukowinę (ta ostatnia droga łatwiejsza, bo w Rumunii wszystko można za pieniądze, a Rzeszę stać na wiele), mam wreszcie poważny wpływ na bardzo ważną się na Słowaczyźnie arbitrem między Cze-giony na Rusi Podkarpackiej przeciw Polsce i Rosji jednocześnie).

Gdybym był Czechem szukałbym gwarantów całości rządzanego przez siebie państwa: Ponieważ Niemcy są najgroźniejsi dla tej całości, liczyłbym na sojusz z największym wrogiem Niemiec — Rosją, wszystko jedno z jaką, nawet z komunistyczną (komunizm w narodzie tak na wskroś drobnomieszczańskim i tak silnie kapitalistycznym, jak Czesi, nie jest groźny,

przynajmniej na razie). Cały wysiłek dyploma-
tyczny kierowałbym na zwalczanie w Rumunii
wpływów polskich i na zapewnienie sobie mo-
żliwości przemarszu wojsk sowieckich przez Bu-
kowinę. A gdybym zwątpił w Sowiety? Gdy-
bym zwątpił w Sowiety z jakichkolwiek powo-
dów i zwątpił w interwencję zbrojną Francji, to
poddalbym się szantażowi niemieckiemu — bo
wolałbym dopuścić do współrzędu Niemców,
chociażby nawet najgorszych, antymasońskich
Niemców, w całej Republice, niż spaść do roli
małego czysto czeskiego państewka, otoczonego
zawszą przez Rzeszę, bez granic naturalnych,
zdanego na łaskę i niełaskę Polski w razie kon-
fliktu z Niemcami. Nie widziałbym innego lep-
szego wyjścia. Nie mógłbym bowiem chcieć
wejść do bloku środkowo-europejskiego, organi-
zowanego przez Polskę. Blok taki nie może ist-
nieć bez, jeśli nie całości, to przynajmniej częś-
ci ziem Republiki, czyli Czechosłowacja jest ko-
niecznym składnikiem takiego bloku, a nie pań-
stwem protegowanym dla celów imperialistycz-
nych przez blok. A więc musi dać ze siebie pew-
ną siłę. A więc musi zadowolić przynajmniej

poważną część swoich mniejszości. A przy tym
jeżeli się będzie w bloku z Polakami i Węgrami,
to trzeba zrezygnować z czechizacji Śląska Za-
olzańskiego, trzeba dać rzeczywisty samorząd
Słowaczyźnie, trzeba zrezygnować z polityki u-
kraińskiej na Rusi Podkarpackiej, słowem trze-
ba zrzec się znacznej części samodzielności poli-
tycznej. To może być gorsze od dopuszczenia
Niemców do współrzędów, zwłaszcza, że ozna-
czałoby walkę z Niemcami nie tylko polityczną,
ale i gospodarczą, co dla Czech jest bardzo przy-
krą perspektywą.

Ponieważ jesteśmy Polakami, nie możemy
pod żadnym pozorem zgodzić się, aby za jedyną
spokojną i naturalną granicą usadowił się który-
kolwiek z naszych dwóch niebezpiecznych sąsia-
dów — nie trzeba tłumaczyć, czym by to gro-
ziło. Gdyby Czechosłowacja była państwem na-
rodowym, to znaczy z wyraźną większością jed-
nego narodu, możnaby na nią liczyć jako na so-
jusznika. Ponieważ jest państwem narodoś-
ciowym, zatem tworem sztucznym i słabym,
zawsze może grozić niebezpieczeństwo ogarnię-
cia jej jak nie przez jednego, to przez drugiego

z naszych sąsiadów. Czechosłowacja jest jakby stworzona na kanał, którym w kierunku równoleżnikowym popłynie jakaś obca moc. To trzeba uniemożliwić. Trzeba przemienić układ „poziomy“ — równoleżnikowy, stworzony w interesie francusko-rosyjskim na układ „pionowy“, południkowy w interesie Polski i wszystkich narodów między Trzecią Rzeszą a Trzecią Rusią mieszkających. (Pierwsza Ruś — Rurycowiczów, druga — Rosja Romanowych, trzecia — Związek Sowiecki — Bolszewików).

* *
*

Podczas odbytego w czerwcu zjazdu przemysłowców czeskich w Pradze, prezes tamtejszego „Lewiatana“ wysunął postulat, entuzjastycznie przyjęty przez zgromadzonych, aby rząd natchmiast przystąpił do przebudowy linii kolejowych tak, aby na przyszły rok uruchomić wielką magistralę kolejową wzdłuż całej Republiki od Chebu aż do Jasiny. Po tej magistrali powinny chodzić ekspresy o szybkości 100 km/godz. Równoległa do tej magistrali kolejowej „Sever-

na silniczna magistrala“ czyli szeroka betonowa autostrada jest już w budowie.

Odbędziemy fikcyjną przejażdżkę przyszlą magistralą od wschodu na zachód. Wsiądziemy nad granicą polską na terytorium etnograficznym ruskim. Za chwilę ekspres, z wielką szybkością pędzący, znajdzie się na terytorium etnograficznym rumuńskim, potem wpadnie na terytorium etnograficzne węgierskie, którym jechać będzie mimo wszystko parę godzin na Hust, Csop, Szatoralya-Ujhely aż prawie do Koszyc. Tu znajduje się na terytorium narodowościowym słowackim, którym pojedzie do Nowej Wsi Spiskiej, skąd terytorium mieszanym słowacko - niemieckim do Popradu, znowu słowackim do Czacy. Stąd polskim przez Jabłonków, Cieszyn, Karwinę. Za Karwiną wjedzie na terytorium etnograficznie mieszane polsko-czeskie, po czym od Morawskiej Ostrawy na terytorium mieszane niemiecko - czeskie, którym pojedzie dłuższy czas aż do Usti nad Orlą. I dopiero stąd ostatnią godzinę jazdy spędzimy na terytorium czysto czeskim.

* *

*

Tam, w Czechosłowacji są trzy kompleksy zagadnień narodowych. Pierwszy to Ruś Podkarpacka. Politycznie jeszcze raczej niczyja, kulturalnie jeszcze raczej węgierska, etnograficznie rusko-węgierska. Ruś nie jest opanowana przez ruch ukraiński. Ale kilkadziesiąt lat wytężonej pracy może ją zamieni w kraj ukraiński. To może nastąpić, jeżeli nie przeciwstawi mu się inna siła na miejscu. Taką inną siłą nie może być tam nic innego, jak tylko węgierskość. Dla Polski powstanie Ukrainy Zakarpackiej byłoby zjawiskiem wprost tragicznym. Musimy dążyć przeto do tego, aby na Rusi Podkarpackiej usadowili się Węgrzy. Byłoby to zarazem zakończeniem dążeń do wspólnej granicy czesko - rosyjskiej i do podcinania wpływów polskich w Rumunii. Wbrew temu co się u nas pospolicie sądzi, uważam ten problem za najważniejszy, ważniejszy od sprawy Polaków na Śląsku Zaolzańskim.

Karpatorusi nie są narodem, mogą się stać

albo częścią narodu ukraińskiego, albo węgierskiego. Natomiast Słowacy stali się już narodem i tej ewolucji nikt nie cofnie — ani Czesi, ani Węgrzy, ani Polacy. Zdrowa i naturalna struktura na Słowaczyźnie nastanie wówczas, gdy rządzić tam będą Słowacy. Sami oni, i nie bez pewnej racji, uważają się za zbyt słabych do całkiem samodzielnego bytu państwowego. Czy pozostaną w związku państwowym z Czechami (na zasadzie autonomii, federalizmu bądź dualizmu), czy też wejdą w związki lub po prostu sojusze z innymi sąsiadami, byle nie z Niemcami oczywiście, co na szczęście jest zresztą nierealne, to z polskiego punktu widzenia biorąc, może być rozmaicie rozwiązane.

Pozostaje problem trzeci, problem czesko-niemiecki. Pogranicze (Sudety, Egerland, Czeski Las) jest jednolicie niemieckie. Mimo to byłoby lepiej dla nas, gdyby mogło zostać przy Czechach. Trudno to sobie jednak w naszych czasach wyobrazić. Ujmując rzecz lapidarnie, o ile utrzymanie przy Czechach niemieckich ziem pogranicznych nie zasługuje na przelanie krwi chociażby jednego polskiego żołnierza, o tyle u-

trzymanie państwa czeskiego na powierzchni Europy zasługuje na przelanie krwi każdego z nas.

* *
*

Basen Naddunajski należy przebudować politycznie, uzbroić go przeciw Trzeciej Rzeszy i przeciw Trzeciej Rusi równocześnie. Ale można to zrobić tylko w imię czegoś. Polska, jeżeli ma tego dokonać musi mieć dostatecznie mocną i wyraźną fizjonomię. Musi najlepiej reprezentować to, co tej Europie środkowej jest wspólne, a co różni ją od Niemiec i Rosji — musi reprezentować chrześcijańską cywilizację. Polska bez fizjonomii może zrobić taką czy inną, choćby nawet bardzo udaną kombinację polityczną. Trwałą budowę środkowej Europy może stworzyć tylko Polska chrześcijańskiego nacjonalizmu. Za tą pójdą inne narody nie tylko z interesu przejściowego ale i z trwałego przekonania.

KONIEC

SPIS RZECZY

ROZDZIAŁ I — SŁOWACY

Zamiast wstępu	5
„Na Slovensku po slovensku“	13
Historia czterech miast	21
W sercu Słowaczyny	33
Farar ružomersky	45
Slovenska Otázka	53

ROZDZIAŁ II — RUSINI I WĘGRZY

„My Karpatorusy...“	71
Grafiki i cyganie	83

ROZDZIAŁ III — CZESI

„Gdzie domostwo moje“	99
Stare i nowe Czeskoslovensko	119

ROZDZIAŁ IV — NIEMCY

Sudety	141
„An der schoenen braunen Donau“	150

ROZDZIAŁ V — POLACY

Polacy w Czechosłowacji	163
Polacy wobec Czechosłowacji	175

ERRATA

- Str. 9 wiersz 16 —
zamiast: *Gór Kruscowych* ma być: *Gór Kruszcowych*
- Str. 69 —
zamiast: *II. Rusiny i Węgrzy* ma być: *II. Rusini i Węgrzy*
- Str. 123 wiersz 19 —
zamiast: *nabytook* ma być: *nabytek*
- Str. 127 wiersz 23 —
zamiast: *ekenomiczno* ma być: *ekonomiczno*
- Str. 131 wiersz 12 —
zamiast: *chcieli by* ma być: *chcieliby*
- Str. 168 wiersz 14 —
zamiast: *jablonowski* ma być: *jablonkowski*
- Str. 187 wiersz 1 —
zamiast: *wiersza 1* ma być: *wiersz 14*
- Str. 187 wiersz 14 —
zamiast: *wiersza 14* ma być: *wiersz 1*

STANISŁAW GRABSKI

KU LEPSZEJ POLSCE

cena zł. 6.—

„Coraz częściej słyszy się i czyta o potrzebie zespolenia wszystkich sił narodu dla wydobycia Polski z kryzysu gospodarczego, który dłużej i ciężej od innych państw przeżywamy.

To wszystko, co się naokoło nas dzieje, świadczy, że niezadługo mogą nadejść dni wielkiej próby, z której wyjdą zwycięsko tylko narody zdolne do wielkiego zbiorowego wysiłku, ściśle zespolone wzajemnym zaufaniem i wspólną dziejową wszystkich ich warstw ambicją.

Zespolenia tego nie dokonają oczywiście same tylko słowa. Muszą dla zrealizowania go przyjść czyny, zmieniając zdecydowanie cały kierunek naszego życia narodowo-państwowego“.

Słowa powyższe, wyjęte z przedmowy Autora do niniejszego dzieła, określają zarówno podłoże, na jakim książka ta wyrosła, jak i jej zawartość. W okresie przewartościowywania całej współczesnej polskiej myśli społeczno-politycznej, w okresie wykuwania się nowych ideologicznych podstaw naszego bytowania, dzieło prof. St. Grabskiego, ujmujące w pełną syntezę naszą rzeczywistość i wytyczające jej szerokie szlaki dziejowe, skłonić musi do głębokich przemyśleń nie tylko bezpośrednich wyznawców głoszonych tu idei, lecz tych wszystkich, którzy w Jutro patrzą.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

WACŁAW MAKOWSKI

MY i WY

cena zł. 6.—

W książce tej zebrano szereg artykułów publicystycznych i kilka przemówień parlamentarnych poruszających różne zagadnienia aktualne.

Jest więc tam mowa o Polsce; o człowieku, jego wolności osobistej i jego wartości społecznej; o demokracji o totalizmie; o różnych objawach przeżywanym przez ludzkość przeobrażeń społecznych; o prawie i o gospodarstwie społecznym; o zdobyczach innych narodów i o naszych możliwościach; o sprawach, które same dzieją się poza wpływem człowieka i o dziełach, które człowiek musi wykonać własną pracą.

Treść czasu, treść niezależnej od nas ewolucji życia polega na tym, że dostajemy z zewnątrz jakieś zadanie i jakiś materiał, który do wypełnienia zadania ma służyć. Reszta należy do nas. Tą drogą zdobyliśmy Państwo. Ale tu powstaje nowe zadanie: bo Państwo jest formą zrzeszonej współpracy obywateli w dążeniu do podniesienia życia społecznego na coraz wyższe szczeble.

Pytanie: jak my sami — dawniej i dzisiaj — organizujemy tę współpracę, jakie sobie stawiamy bliższe i dalsze cele, czego z doświadczeń własnych i cudzych przykładów możemy i powinniśmy się nauczyć? — pytania takie i tym podobne stanowią fundament rozważań książki.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

TADEUSZ KATELBACH

ZA LITEWSKIM MUREM

cena zł. 7.—

Praca o tytule wyżej podanym jest zbiorem korespondencji, które autor w wydaniu książkowym rzeczowo usystematyzował, wysuwając na plan pierwszy wewnętrzną sytuację polityczno-gospodarczą Litwy; w dalszej kolejności przystąpił do omówienia najważniejszych zagadnień politycznych państwa litewskiego w odniesieniu do istniejących stosunków sąsiedzkich. Toteż słusznie największy nacisk położony został na wzajemne ustosunkowanie się Litwy do Polski, z kolei na stosunki litewsko-niemieckie, w których podkreślono wybitnie sprawę Kłajpedy, a sam już tytuł rozdziału: „Kłajpedzki orzech” mówi dosadnie, czym jest ten teren dla Litwy.

...Musimy stwierdzić, iż obraz ten jest wartościowy i ciekawy, przedstawiający z całą znajomością przedmiotu psychikę ludności litewskiej i jej dążenia, wreszcie skomplikowane problemy bałtyckie.

Stanisław Gorzuchowski

...Znajomość rzeczy tego rodzaju nie jest bynajmniej wynikiem najświeższego pobytu w Kownie przez trzy i pół roku, tkwi ona swymi korzeniami znacznie głębiej, sięgając kultury i wycucia autora.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”



Biblioteka Główna UMK



300044884725

Biblioteka Główna UMK



300044884725

Wasi

—
MIE

III RZ

A III

384